Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 36 (1876) • 4–10 września 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Łapówka systemowa

str. 11

Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało...

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 36

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 36b301ba96

WOJNA DOMOWA

Jak co roku 1 września, polscy politycy urządzili sobie zawody w podstawianiu nogi do kucia. Prezydent, premier i minister obrony narodowej usiłowali urwać – każdy dla siebie – po kawałku Westerplatte, żeby z przewidywalnej klęski upiornej sanacyjnej dyktatury w roku 1939 wygenerować jakąś korzyść polityczną dla swojej formacji w roku 2026. Zaskoczeń raczej nie było. Donald Tusk mówił o Ruskich, Karol Nawrocki o Niemcach, a Władysław Kosiniak-Kamysz, żeby dać mu więcej pieniędzy na zbrojenia. Tym razem retoryczną palmę pierwszeństwa przyznajemy prezydentowi za zdanie: „Trzeba pamiętać, że 1 września rozpoczęła się hekatomba i pandemonium narodu polskiego". Przypomniała nam się reklama Plusa sprzed lat: „Pomarańczowy jest metaforą – trudne słowo – telefonów na kartę, a zielony jest alegorią – jeszcze trudniejsze słowo – kosztowania złotówkę". Pointa tamtej reklamy – jak Państwo zapewne pamiętają – brzmiała „kopytko". Naszym zdaniem nadaje się też na podsumowanie wystąpień przywódców narodu polskiego w kolejną rocznicę wybuchu II wojny światowej.

Przy okazji wyróżnił się Mariusz Błaszczak, który co prawda nie miał okazji przemówić na Westerplatte, ale przemówił w radiu. Zapytany, czy polscy żołnierze powinni pójść z odsieczą zaatakowanej przez Rosjan Estonii, Łotwie lub Litwie, nie powiedział tego, co wiedzą wszyscy: że nic takiego się nie wydarzy – nie jest wszak Leszkiem Millerem, który jako jedyny polityk w RP wygłasza takie bezecne oczywistości. Nie powiedział także tego, co byłoby odpowiedzią bezpieczną i słuszną: że wypełnimy nasze natowskie zobowiązania. Skorzystał za to z okazji, żeby poruszyć swój ukochany temat – dokładnie tak samo jak Tusk, Nawrocki i Kosiniak. Otóż: „polscy żołnierze powinni bronić Polski, trzeba być silnym w sojuszach, tak było za rządów PiS, kiedy byłem ministrem obrony narodowej. Trzeba stawiać na współpracę z USA". I że artykuł piąty artykułem piątym, „ale chodzi o to, że rząd, który Polską rządzi, powinien nawiązywać jak najlepsze relacje ze Stanami Zjednoczonymi". Co to, kurwa, ma do rzeczy?!?

Rząd ma Krala i nie zawaha się go użyć. Szef Zondakrypto, po zamianie adwokata pisowskiego na mecenasa Giertycha, przynosi władzy czyste złoto i po aresztowaniu nieszczęsnego szefa PKOl padają kolejne ofiary; trzy tylko w środę. Przy okazji wypłynęła umowa Zondakrypto z Piesiewiczem, która zakładała, że kryptoaferzyści mają prawo do „rozpowszechniania lub przetwarzania", a także „przekształcania, modyfikacji i innych zmian" „twarzy, sylwetek lub głosu" obecnych i byłych olimpijczyków. Prawo takie uzyskały także „agencje marketingowe, agencje reklamowe i wydawnictwa współpracujące ze Sponsorem". A gdyby któryś ze sportowców kręcił nosem, to zapłaci PKOl. Stopień bezczelności aferzystów i ich łapówkarza zapiera dech w piersiach, i można niemalże uznać, że wsadzenie urzędującego z nadania PiS Piesiewicza i kilku jego kamratów to będzie wreszcie ów wymarzony przez „silnych razem" i innych fanatyków PO/KO akt „rozliczeń". Tak przynajmniej zachowuje się min. Żurek, który organizuje konferencje prasowe jedną za drugą i daje Tefałenowi niezliczone okazje do „programów specjalnych". Pytania, na ile przybliża nas do przywrócenia praworządności, nikt taktownie nie zadaje.

Prawo i Sprawiedliwość pogrąża się w kryzysie. Z pozoru mogłoby się zdawać, że podział między Kaczyńskiego i Morawieckiego, przeprowadzony wzdłuż linii klasowych – odeszli inteligenci, zostali ludzie prości – nie powinien przeszkodzić PiS w wyczuwaniu nastrojów ludu, a jednak. W tym tygodniu karierę zrobiła posłanka Agnieszka Wojciechowska van Heukelom, szefowa PiS w Łodzi, wrzucając na socjale filmik, w którym tokowała z oburzeniem: „Moje biuro poselskie, tutaj na Piotrkowskiej, pada deszcz, taksówka nie może podjechać po posła, bo stoją słupki, ja jako osoba pełnosprawna nie mam problemu, mogę defilować w deszczu, choć nie powinnam, ale co z osobami, które nie mogą dojść ten kawałek do taksówki? Skandal!". Ależ po co mają chodzić do taksówki, Pani Poseł, skoro prezes powiedział w ostatni wtorek, że rząd „doprowadził do ciężkiego kryzysu finansów publicznych kosztem ludzi, kosztem Polaków, bo dzisiaj prawie każdy ma samochód"?

Lech Wałęsa wystąpił z okazji 46. rocznicy podpisania porozumień sierpniowych, przemawiając do wątłej garstki wytrwałych zwolenników – a może raczej urzędników gdańskiego ratusza, zagnanych pod Pomnik Poległych Stoczniowców w ramach obowiązków służbowych – i tradycyjnie wspomniał, jak go „nieśli na ramionach" za „wielkie piękne mądre zwycięstwo". Potem jednak poczynił zauważenie godne mędrca: „W tamtym czasie cały świat miał wspólny mianownik: komunizm i Związek Radziecki. Część świata kochała Związek Radziecki, cześć nienawidziła, ale to był nasz wspólny mianownik i kiedy rozbiliśmy Związek Radziecki i komunizm, straciliśmy wspólny mianownik", więc teraz „nie ma wspólnego mianownika, a w liczniku mamy różne interesy". No i co, może nieprawda?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

wrzesień 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętej Edyty

Wystąpiłem jako statysta w kręconej teraz komedii „Disco polo". Zdjęcia odbywały się w lochu warszawskiego aresztu na Białołęce udającym amerykańskie więzienie, a ja grałem pensjonariusza. Nie podtapiano mnie jednak, jak to Amerykanie lubią, lecz poddano gorszej torturze. Musiałem słuchać piosenki disco polo. Byłem

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

pierwszym w dziejach kina statystą, którego oklaskiwała tłocząca się w lochu lista płac polskiego filmu. Jak sądzę, bito mi brawo niczym gwieździe filmowej za to, że nie wziąłem honorarium za statystowanie. Inicjatorem tej artystycznej fanaberii był pan Figurski – ten, który wraz z panem Wojewódzkim dymał ukraińskie sprzątaczki, co okazało się kosztowne.

Świętego Renoda

Komandor orderu Polonia Restituta pudel Azor ukradł mi kaszankę, którą miałem na obiad i kolację, a ponieważ nie nawykł do ordynarnych dań, obsrał nią afgański dywan. Wielki to uszczerbek dla wnętrza mojego i mego domu. Azorkowi czyszczono zęby. Szykuje się na wojnę z Rosją?

Świętej Nadieżdy

W szkołach prowadzone ma być szkolenie wojskowe. Podręcznik pt. „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną" napisała znana literatka Masłowska.

Świętej Emilii

Mnożą się plotki, że po tragicznym odjeździe Donalda Tuska w Polsce ni z tego, ni z owego szarogęsić się będzie pan Bronisław Komorowski, potomek powstańców. Osobnik ten nosi pechowo zapisane w historii Polski nazwisko, pomimo to nie wzbudza w nikim obaw. Boi się go tylko prof. Nałęcz, ale to uczony ogólnie lękliwy. Prezydent wywodzi się z względnie rozumniejszej niż generał linii Komorowskich, której rozumu nie utrzęsła jazda konna.

Św. Emilii (cd.)

Janusz Palikot tłumaczy, że ludzie i czasy jeszcze do niego nie dorosły, ale to się zmieni po trzeciej kadencji rządów Platformy. Robię gimnastykę w wodzie, żeby tego dożyć żywym.

Świętego Davy

Były prezes byłego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego Marian Piłka głosił w TVN, że byłego arcybiskupa pedofila Wesołowskiego Watykan powinien wydać do więzienia na Dominikanie, bo przy nim piekło jest rajem. Arcykatolicy są arcymiłosierni. Dyskutująca z Piłką Kazimiera Szczuka, lewicowa feministka, aprobowała o dziwo pogląd arcykatolika Piłki, że Wesołowski wpierw prawomocnie musi być przez Watykan odksiężony. Dopiero potem może być rzucony na pożarcie dominikańskim szczurom i pająkom. Do pięknej głowy jej nie przyszło, że jako ksiądz też powinien siedzieć – jak każdy przestępca, bo zawód nie chroni przed odpowiedzialnością prawną. W PZPR też wpierw trzeba było wylecieć z partii i dopiero potem szło się siedzieć. Tyle że Polska Zjednoczona nie guzdrała się z tym jak Watykan. Szczuka tak wygląda, że każdy jej kochanek może siedzieć za pedofilię.

Świętego Mathieu

Powstał pierwszy od 1944 r. rząd, w którym nikogo osobiście nie znam. Dziwne uczucie, że mają mną rządzić sami nieznajomi. Podobnie jak Chinami.

Świętego Maurycego

Byłem na imieninowym przyjęciu znajomego. Niektórzy goście ukradkiem chwytali swe komórki. Okazało się, że trwa jakiś mecz Rosja–Polska. Sport mnie nie obchodzi, a jednak zezłościłem się, usłyszawszy, że Rosja przegrała. Życzę Rosji wygrywania wszystkich meczów międzynarodowych. Wielkiej ekspansji kultury i szołbiznesu. Sukcesów handlowych. Królowania w modzie. Rosjanie mają kompleks wyższości-niższości i wybujały samokult narodowy. Niechaj ich ambicje znajdują więc ujście nieterytorialne i pozamilitarne. Np. ONZ może uchwalić, że Miss Świata musi prawosławnie pisać cyrylicą.

Świętej Tekli

Na przyjęciu, o którym wspomniałem, wśród setki przyzwoitych ludzi bawił także Jan Pietrzak, muza Kaczyńskiego brzdąkająca mu na gitarze. Autor nibyfelietonów w pisowskiej prasie, które przypominają wstępniaki „Trybuny Ludu", tylko treściowo są na opak. W odróżnieniu od ministrów pani Kopacz znam Pietrzaka od zawsze, dzieliłem z nim nawet jego żonę. Pietrzak ów na przyjęciu tym manewrował jak mistrz żeglarstwa i kicał jak zając, żeby tylko na mnie się nie natknąć. Dziwne. Kaczyści chcą ruszać na wojnę z Rosją, a uciekają już przed jednym starym komuchem bez zębów.

Świętego Hermana

Po przyjęciu, na którym minąłem się z Pietrzakiem, pojechaliśmy na drugie przyjęcie bez Pietrzaka. Ozdabiały je modelki w długich sukniach, snuł się kapitał młody i wielki obserwowany ze ścian pałacu przez kosztowne obrazy École de Paris. Ja doznałem ataku drobnomieszczańskiego wstydu typowego dla moich żydowskich przodków i nie wszedłem tam z Daniszewską. Promile plątały bowiem Daniszewskiej nogi tak bardzo, że lewa szła po prawej stronie, a prawa po lewej i jedna podważała drugą. Leżąc już u siebie w łóżku, zobaczyłem przez okno gwarny pochód zmierzający do mojego domu. To fanatyczni miłośnicy „Dialogów dam w drodze do kościoła" nieśli swą idolkę do małżeńskiej łożnicy państwa Daniszewskich. Czołówka pochodu wkroczyła do sypialni, bo chciała dowiedzieć się wszystkiego o Daniszewskiej. Ogłosiłem, że Daniszewska ma córkę, a ta katar i kapelusz.

Świętej Come

Z dowództwa AK przy „Gazecie Polskiej" wyciekł wynik sondażu: Jan Pietrzak brzydzi nawet patriotki. Prawie połowa nie chciałaby się z nim przespać, pomimo to, że pragną, żeby Polska była Polską.

Świętego Damiana

Rząd Tuska rządził, żeby wszystkim było dobrze. Premier Kopacz odchodzi od tej idei: rządowi ma być niedobrze.

Świętego Hermana

Panika wojenna trwa. U nas w Konstancinie w sklepie Kuchnie Świata w godzinę wykupiono homary, a w Delikatesach dla psów i kotów szyje strusia. Przeznaczone dla dużych psów szyje strusia są chemicznie uśmierdzane. W powstałym zamieszaniu prezydent Komorowski usilnie wybija się na niepodległość.

Świętego Herkulana

Po Tusku żal patrzeć na tę Kopacz. Przeniesiono nas nagle do jakiegoś teatrzyku gospodyń domowych. Kobiecość jest tym ostatnim, czym powinna grać ta pani. Mówienie, że w razie zagrożenia zewnętrznego zamknie polską rodzinę w domu i zatrzaśnie drzwi na świat, upodabnia do kurzej jej bystrość polityczną i odruchy. Mama narodu, pożal się Boże. Ko ko, ko ko, ko ko… Czy Merkel nie chciałaby dorabiać wieczorami jako premier także Polski?

❑

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Zasadność wyróżnienia zbrodni ludobójstwa

Moje stanowisko w tej sprawie jest zapewne kontrowersyjne. Ogólnie uważam ją za swoiste niechciane dziecko nacjonalizmu, doprowadzonego do okrutnej skrajności. Rozumiem Pana Profesora Rafała Lemkina, którym musiały powodować ekstremalne emocje, wobec tragedii, jakiej doświadczyli szczególnie Żydzi w czasie II wojny światowej. Nie zwalnia mnie to jednak od oceny wprowadzenia z jego inspiracji do katalogu przestępstw zbrodni ludobójstwa (genocydu).

W pierwszej kolejności pragnę zwrócić uwagę, że można dopuścić się ludobójstwa, nie zabijając ani jednego człowieka. Istnienie „ludu", czyli określonej grupy etnicznej, odrywa się w ten sposób od istnienia składających się na nią ludzi; „lud" może ponieść uszczerbek, mimo że nie zginie żaden z jego przedstawicieli. Również dokonane w takiej postaci ludobójstwo oceniane jest generalnie surowiej od „zwykłego" zabójstwa, z którym przecież zawsze wiąże się śmierć konkretnego człowieka (ewentualnie sytuacja, w której życie było realnie zagrożone – przy usiłowaniu zabójstwa). W dalszej kolejności ośmielam się uważać, że np. zbrodnia wołyńska nie byłaby wcale mniejsza, gdyby w taki sam okrutny sposób wymordowano nie 100 tys. Polaków, ale np. po 10 tys. przedstawicieli 10 różnych narodów, w tym 10 tys. Ukraińców. Zbrodnia ta nie byłaby mniejsza również w przypadku wymordowania przez Ukraińców w podobny sposób 100 tys. samych Ukraińców. Podobnie wymordowanie przez Niemców, zamiast kilku milionów Żydów, takiej samej liczby, w ten sam sposób, przedstawicieli różnych narodów, czy nawet samych Niemców – także nie czyniłoby tej zbrodni mniejszą.

Grzegorz Ruchlewicz

eprasa.pl 36b301ba96

Refleksje wrześniowe

Piękna nasza wojna cała

II wojna światowa – jak każda wojna – ma swoje legendy, zazwyczaj mocniejsze od historycznej prawdy. I bardzo różne, zależnie od kraju i narodu. Polskie legendy tej wojny wyróżniają się odrębnością treści i siłą zakorzenienia. Jak wszystkie historyczne legendy, za punkt wyjścia biorą fakty – ale budują na nich zmyśloną treść, pełną fantazji.

Polskie legendy o tej największej i najkrwawszej wojnie w dziejach powszechnych (60 milionów zabitych i zaangażowanie 80 proc. istniejących państw) dotyczą głównie dwu kwestii: początku wojny i jej rezultatów.

Bękarty traktatu wersalskiego

Polska była zbyt słabym militarnie państwem, aby wywierać znaczący wpływ na bieg tej globalnej wojny. W jej przebiegu była częściej przedmiotem niż podmiotem wydarzeń. Był jednak taki moment, kiedy wywierała wpływ podmiotowy: na samym początku wojny, w 1939 r. Wtedy, kiedy odrzuciła ultymatywną propozycję Hitlera, aby za cenę niewielkich ustępstw terytorialnych na Pomorzu zawrzeć generalne przymierze z Niemcami i stać się – podobnie jak Węgry i Rumunia – ich wojennym wasalem. Rząd sanacyjny nie przyjął tej propozycji – mimo że alternatywą była wojna; a w pierwszej fazie zapewne klęska. Do takiej polityki zachęciły Polskę mocarstwa zachodnie, Anglia i Francja, oferując sojusz na wypadek niemieckiej napaści. Decyzja Polski w świecie demokratycznym jest powszechnie oceniana bardzo pozytywnie – choć w opinii części historyków skłoniła ona Hitlera do przejściowego sojuszu ze Stalinem i przez to ułatwiła mu rozpoczęcie II wojny światowej.

Nawet Władysław Gomułka w swoich pamiętnikach niezwykle – jak na komunistę – chwali sternika sanacyjnej polskiej polityki zagranicznej Józefa Becka za tę decyzję. Sądzi, że w wymiarze historycznym uratowała ona Polskę przed zagładą, a także uratowała Związek Radziecki, który wojnę z Niemcami sprzymierzonymi z Polską zapewne przegrałby. Stalin – pisał Gomułka – wiele zawdzięczał Beckowi, a odwzajemnił się mu zdradzieckim paktem Ribbentrop–Mołotow. Mimo że przewidywanie sukcesu Niemiec dzięki wsparciu z Polski jest bardzo dyskusyjne – oczywistością pozostaje, że zwasalizowanie Polski w 1939 r. przez Niemcy hitlerowskie bez wojny sprawiłoby, że początek II wojny światowej byłby inny.

Legendą bardzo w Polsce dziś popularną jest jednak przeświadczenie, że takie przymierze zapobiegłoby wojnie światowej w ogóle. Że bez zawartego kosztem Polski czasowego sojuszu ze Stalinem Hitler nie zaryzykowałby wojny z mocarstwami zachodnimi, poprzestałby na podbiciu Związku Radzieckiego. A jego spadkobiercy rządziliby Niemcami – i być może Rosją – do dziś?

Niezbyt wesoła to perspektywa, ale na szczęście całkowicie ignoruje fakty. Przypisuje ona kluczowe znaczenie Polsce, której podział między Niemcy i ZSRR w 1939 r. miałby zmienić losy świata.

Wśród wielu dyskutowanych w nauce historycznej hipotez o przyczynach II wojny światowej, pakt Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r. tylko w Polsce jest eksponowany jako główny warunek i powód jej wybuchu. W nauce światowej dominują inne hipotezy.

Najbardziej racjonalny i przekonujący powód tej wojny wskazał w swej „Dyplomacji" Henry Kissinger. Według niego u źródeł II wojny światowej leżały wadliwości traktatu wersalskiego, który zakończył jej poprzedniczkę w 1919 r. Był to traktat zbyt surowy, aby naród o niemieckim potencjale pogodził się z nim bez rozpaczliwego i powszechnego sprzeciwu – a jednocześnie za mało surowy, aby ten sprzeciw mu uniemożliwić. W rzeczy samej od chwili podpisania traktatu wersalskiego w Niemczech narastał gwałtowny bunt przeciw jego postanowieniom, wysokości reparacji, ograniczeniom politycznym i militarnym. Walkę z ładem wersalskim wpisała na swe sztandary zorganizowana przez Adolfa Hitlera partia nacjonalistyczno-populistyczna NSDAP, której wpływy szybko rosły. A po wielkim kryzysie gospodarczym pozwoliły jej, z poparciem milionów bezrobotnych, zdobyć władzę metodami parlamentarnymi. I prawie natychmiast przekształcić ją w totalitarną dyktaturę.

Hitlera wojna przedwczesna

Analiza obfitych źródeł pozwala jednoznacznie określić priorytety Hitlera. Były proste i chwytliwe. Zignorować ograniczenia traktatowe i w ten lub inny sposób odbudować niemiecką armię. Obalając ograniczenia traktatowe w drodze nacisku dyplomatycznego i ulicznego, zjednoczyć naród niemiecki w jednym państwie. Pokonać militarnie Francję i zastraszyć Wielką Brytanię. Na koniec podbić Związek Radziecki i Polskę, oba te kraje przekształcić w niemiecki Lebensraum (przestrzeń życiową) i skolonizować. Najogólniej: naciskiem i wojną zdobyć supremację w Europie, a wschód kontynentu przekształcić w niemieckie kolonie. Miał rację Józef Beck, który odrzucając propozycje Hitlera i zachęty, „abyśmy razem pokonali bolszewików", mawiał: „A co później? Pojedziemy za Ural rąbać dla Niemców tajgę?".

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Hitler wpływy w społeczeństwie niemieckim nastawionym „antywestfalsko" i odwetowo uzyskiwał łatwo, natomiast w niemieckim establishmencie, zwłaszcza wojskowym, z większym trudem. Generalicji niemieckiej odpowiadały programy antywersalskie i odbudowa armii; rządy hitlerowskich bojówek z lumpenproletariatu dużo mniej. Obawiano się też wojskowej niekompetencji Hitlera, a zwłaszcza – wręcz panicznie – tego, że wpędzi Niemcy w wojnę na dwa fronty, co generałowie uważali za główny powód niepowodzenia w I wojnie światowej. Obawiano się też wywołania przez Hitlera „wojny przedwczesnej".

Szef niemieckiego sztabu generalnego, generał pułkownik Ludwig Beck, który początkowo sprzyjał Hitlerowi, później zmienił stanowisko. Sprzeciwiał się planowi zgarnięcia Austrii, a bardziej stanowczo – zamiarowi aneksji Czech w 1938 r. Był przekonany, że ta aneksja stworzy zagrożenie „wojną przedwczesną". Podejmował próby obalenia Hitlera, namawiał innych wyższych dowódców do zbiorowej rezygnacji. Gdy te zabiegi się nie powiodły, a Hitler przy zamiarze aneksji Czech trwał, gen. Beck sam złożył rezygnację. Na pożegnanie do księgi rozkazów wpisał oświadczenie dla przyszłych pokoleń: że „nigdy nie popierał awanturniczych poczynań Hitlera, zmierzających do wywołania nowej wojny powszechnej, której Niemcy w żadnym wypadku wygrać nie mogą!".

Generał Beck wiedział, co mówi. Był solidnym fachowcem, znał reguły wojny wyśmienicie, a potencjał niemiecki jak nikt inny. Interesujące, że mimo tego wpisu spokojnie i bez represji przeszedł na emeryturę. Zginął od samobójczej kuli dopiero po nieudanym zamachu na Hitlera w lipcu 1944 r.

Anglik wiedział, nie powiedział

Wracając do Polski: znany z oryginalnych poglądów znakomity znawca niemieckich archiwaliów, zmarły niedawno profesor Włodzimierz Borodziej, oceniając konflikt polsko-niemiecki z 1939 r., powiedział: „Polska pierwsza w historii odmówiła polubownego porozumienia się z Niemcami, postawiła się Hitlerowi i w ten sposób została członkiem założycielem koalicji antyhitlerowskiej". Na tym jednak jej podmiotowa rola się kończy.

W Polscy modne jest przekonanie o szczególnej wadze – zwłaszcza – tajnego protokołu dodatkowego paktu Ribbentrop–Mołotow, przewidującego podział Polski miedzy oba państwa po jej pokonaniu przez Niemcy. Borodziej to przekonanie kwestionuje. Jego zdaniem Hitler łatwo pokonałby Polskę bez wsparcia ze strony Stalina. Miał wielką przewagę wojskową. Nie musiał też obawiać się interwencji radzieckiej w obronie Polski. Do zawarcia tego paktu skłoniły go nastroje w niemieckiej generalicji i jej obawa przed wojną na dwa fronty – z Francją i Związkiem Radzieckim równocześnie. Zawarł więc pakt ze Stalinem, aby uspokoić generalicję, że taka wojna nie grozi. Ani przez chwilę nie traktował tego paktu jako trwałego i długofalowego przymierza. Nie zmienił też zamiaru podboju Rosji Radzieckiej natychmiast po pokonaniu Francji.

Liderzy mocarstw zachodnich znali treść tajnego protokołu paktu Ribbentrop–Mołotow od dnia jego podpisania. Informował ich wysoki urzędnik niemieckiej ambasady w Moskwie, antyhitlerowiec. Jednak Polsce tych informacji nie udzielili. Bali się, że przerażona nimi może skapitulować przed Hitlerem. A oni już zdecydowali, że następna po aneksie Czech niemiecka próba umocnienia się w Europie będzie już casus belli. Ponieważ do wojny nie byli w pełni gotowi – Wielka Brytania nie miała gotowej armii lądowej – to w swych kalkulacjach dopuszczali szybką klęskę Polski, której nie zapobiegną, ale liczyli na późniejsze szybkie zwycięstwo, które pozwoli odtworzyć państwo polskie. Przeliczyli się i to bardzo. A Polskę zwiedli swymi obietnicami.

Dwaj wrogowie

Czy nawet nie znając treści protokołu dodatkowego Polska liczyła się ze zbrojną interwencją radziecką po stronie Niemiec?

Chyba jednak tak. Wszystkie instytucje państwa, które planowano ewakuować do Rumunii – ministrowie i ich zastępcy, skarb państwa itp. – 16 września znajdowały się już na granicy. Andrzej Leon Sowa zwrócił uwagę na to, że tego dnia w rejonie Włodawy tylko kilometry dzieliły zagony pancerne Wehrmachtu od zamknięcia kręgu otoczenia wszystkich jeszcze walczących polskich wojsk. Wojna była już przegrana, radziecki nóż w plecy nie był Hitlerowi potrzebny. Rydz-Śmigły miał też gotowy ostatni rozkaz do wojska, który ogłosił 18 września, już z Rumunii. W nim zaś zdanie: „Z sowietami nie walczymy". Raczej niedorzeczne w odniesieniu do oczywistego agresora, ale zapewne uzgodnione z aliantami zachodnimi.

Mocarstwa zachodnie odmówiły dalszej współpracy z rządem sanacyjnym i wymusiły przekazanie władzy opozycji, z generałem Władysławem Sikorskim na czele. Nowy rząd natychmiast zadeklarował, iż znajduje się w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim – czyli ogłosił teorię „wojny z dwoma wrogami". Jednak państwa, które wypowiedziały solidarnie z Polską wojnę Niemcom, tego stanowiska nie podzieliły. Powstała trwająca całą wojnę rozbieżność w polityce wojennej koalicji antyhitlerowskiej.

Najdobitniej tę rozbieżność ogłaszał od początku Winston Churchill, wówczas jeszcze nie premier, lecz bardzo wpływowy członek brytyjskiego gabinetu, lord admiralicji. 30 września, kiedy opór polski wciąż lokalnie trwał, w przemówieniu radiowym do narodu mówił: „Rosjanie stanęli na linii, na której powinni byli stanąć. Wolelibyśmy oczywiście, aby stanęli jako sojusznicy Polski, a nie nieprzyjaciele, ale to nie ma większego znaczenia. Najważniejsze, że ta linia rozgraniczenia powstała i Niemcy już jej lekceważyć nie będą mogli". Mocarstwa zachodnie przyjmowały, że sprawiedliwą granicą wschodnią Polski jest linia wytyczona w 1919 r. przez lorda Curzona. W latach 1939–1941 cały czas spodziewali się konfliktu niemiecko-radzieckiego i z nadzieją śledzili oznaki jego zbliżania się. Stanowczo też domagali się od Polski nieobnoszenia się publicznie z teorią dwu wrogów.

Stalin też nie liczył na trwały sojusz z Hitlerem. Oczekiwał jednak, że przetrwa trzy do czterech lat, aż w zmęczonych wojną państwach „imperialistycznych" dojrzeją nastroje rewolucyjne, a jego armie będą już gotowe wkroczyć jako arbitrzy. Na razie zagarniał co swoje: polskie Kresy Wschodnie, kraje nadbałtyckie, Besarabia i próba wasalizacji Finlandii w wojnie zimowej 1939… Odtwarzał granice posiadłości carskiej Rosji z 1914 r.

Sukcesy militarne Niemiec w Europie, podbój Skandynawii, ofensywa błyskawiczna we Francji przeraziły Stalina, poczuł zbliżające się zagrożenie. Pospiesznie zakończył wojnę w Finlandii połowicznym sukcesem terytorialnym. Nakazał przyspieszyć reformy w wojsku i odbudowę jego dowództwa, zdewastowanego w czystkach. Z łagrów wyciągał niedobitki oficerów, którzy przeżyli czystkę. W marcu 1940 r., po trzech latach więzienia, odzyskał wolność Konstanty Rokossowski – i wrócił do służby. Historyk tych wydarzeń zanotował fakt interesujący. Zdezorientowany Rokossowski po zwolnieniu udał się w Leningradzie do przyjaciela sprzed lat, generała Kiryła Miereckowa, wtedy szefa tamtejszego OW. Został przyjęty z otwartymi ramionami i – według wspomnień – pierwszą noc przyjaciele spędzili na rozmowie. Niestety, nie wiemy, o czym wtedy rozmawiali dwaj przyszli marszałkowie Związku Radzieckiego, a jednocześnie dwaj więźniowie NKWD: były i przyszły.

Odszczekany memoriał

Polityka „dwu wrogów" bardzo osłabiła pozycję Polski w koalicji antyhitlerowskiej. Dopóki jednak trwał „sojusz" niemiecko-radziecki, ta rozbieżność była do tolerowania, choć chwilami okazywała się nieprzyjemna. Już po klęsce Francji, wiosną 1941 r., rząd brytyjski poprosił Sikorskiego o przedstawienie „polskiego punktu widzenia na toczącą się wojnę" . Nad memoriałem pracowano kilka tygodni i w czerwcu dostarczono go Brytyjczykom. W tekście wykluczono perspektywę konfliktu radziecko-niemieckiego ze względu na totalitarny system zbliżający oba państwa. Kilka dni po doręczeniu opracowania Brytyjczykom wojna na wschodzie jednak wybuchła. Pospiesznie tekst wycofano i poprawiono.

Ta rozbieżność stanowisk w sprawie radzieckiej szybko pogłębiała się i pod koniec 1943 r. spowodowała ubezwłasnowolnienie rządu emigracyjnego. Wiodące mocarstwa koalicji przejęły bezpośrednio rokowania z ZSRR w sprawie polskiej (granice, rząd itp.) i prowadziły je nie tylko bez konsultacji z rządem polskim, lecz nawet bez jego wiedzy. Początkowo, zwłaszcza w Teheranie (koniec listopada 1943), bardzo dla Polski niekorzystnie. Tylko szereg okoliczności wewnętrznych i zewnętrznych spowodował, że ostateczny wariant terytorialny ładu pokojowego po wojnie okazał się dla Polski korzystny. Ale to już temat odrębnej opowieści.

ANDRZEJ WERBLAN

eprasa.pl 36b301ba96

Tylko frajerzy uczą cudze dzieci

Budżetowy prezent dla nauczycieli na nowy rok szkolny

Ryzyko bycia zrobionym w prącie jest wpisane w zawód nauczyciela. Niech rzuci kamieniem, kto nie próbował za smarkacza zrobić belfra w wała. Spisywanie prac domowych w kiblu, ściąganie na sprawdzianach, kradzież testów z torebki lub nesesera – repertuar był nieograniczony. Politycy obozu rządzącego udowodnili, że z pewnych zachowań się nie wyrasta i poszli o krok dalej. Obiecali nauczycielom zmianę systemu waloryzacji wynagrodzeń – po czym pokazali im środkowy palec, a na dokładkę zrobili z całej grupy zawodowej wiatrak w oczach społeczeństwa.

Głupiemu radość

Projekt budżetu na 2027 r. nie pozostawia złudzeń: środki na wzrost wynagrodzeń nauczycieli mają wynieść 3 proc. Rządowe plany doprowadziły belfrów do wkurwu; w ostatni dzień sierpnia niezadowolenie tym i resztą edukacyjnych baboli wyrazili oni protestem pod Kancelarią Premiera. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziem gówno wskórają.

Badania międzynarodowe (PIRLS 2021 i TIMSS 2023) wskazały, że satysfakcja zawodowa nauczycieli w kraju nad Wisłą jest najniższa na świecie. Jedynie 34 proc. z nich deklarowało wysoki poziom zadowolenia z pracy; dla porównania w Korei Południowej współczynnik ten wyniósł 87 proc., a w Singapurze aż 91 proc. Mało optymistyczne dane wynikają m.in. z braku prestiżu zawodowego, braku wpływu belfrów na decyzje w oświacie czy przeciążenia papierkową robotą, zabierającą czas, który można by poświęcić uczniom. Kraje znajdujące się w czołówce inwestują w dobrostan kadry pedagogicznej poprzez współpracę szkół z ośrodkami zdrowia psychicznego czy organizowanie ścieżek rozwoju zawodowego. Polska nauczycielom funduje nadciśnienie i depresję.

Krajowa oświata pod wieloma względami finansowymi znajduje się w ogonie zestawień europejskich. Nie inaczej jest z wynagrodzeniami nauczycieli.

Rys. TOMASZ WIATER

Zanim ktoś podniesie larum o nienażartych pasożytach, warto zerknąć w statystyki. W latach 2022–2023 roczna ustawowa pensja brutto polskiego nauczyciela wynosiła średnio niespełna 10 tys. euro. W tym samym czasie nauczyciele w Bułgarii zarabiali średnio 10,4 tys. euro, w Rumunii ponad 13 tys. euro, a w Niemczech 62 tys. euro rocznie. Porównanie zarobków początkującego nauczyciela do płacy minimalnej wygląda jeszcze mniej optymistycznie. W Niemczech nauczyciel na starcie kasuje prawie 300 proc. minimum; w Polsce: 110 proc. Krótko mówiąc, pensja zasadnicza nauczyciela wchodzącego do zawodu przekracza płacę minimalną o 10 proc. Wskutek tego, choć wakatów w kraju nie brakuje, chętnych na ich zapełnienie już tak.

Fakt, że użeranie się za psie pieniądze pod garbem potężnej odpowiedzialności z gówniarzami, rodzicami i Ministerstwem Edukacji Narodowej nie wygląda atrakcyjnie, dostrzegli przytuleni do Donalda Tuska politycy. Tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. podpisali ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego porozumienie, w którym zobowiązali się do „realnej poprawy sytuacji materialnej nauczycieli poprzez powiązanie systemu wynagradzania ze średnim wynagrodzeniem w gospodarce". Szybko im przeszło.

Godne płace i wysoki prestiż...

Pomysł powiązania wynagrodzeń ze średnią krajową wyszedł od ZNP. Obywatelski projekt nowelizacji Karty nauczyciela (inicjatywa „Godne płace i wysoki prestiż nauczycieli") trafił do sejmu w listopadzie 2021 r., ale po pierwszym czytaniu propozycja ugrzęzła w komisji. Po zmianie władzy rząd zadeklarował podniesienie wynagrodzeń belfrów o minimum 30 proc., gwarantując, że każdy nauczyciel otrzyma nie mniej niż 1,5 tys. zł brutto podwyżki. Ponadto pokusił się o obietnicę stałego systemu automatycznej rewaloryzacji nauczycielskich pensji, aby nie zależały od widzimisię aktualnie rządzących polityków.

Część postulatów zrealizowano na początku 2024 r., pojawiły się jednak pewne zgrzyty. Owszem, nauczyciele mianowani i dyplomowani dostali 30 proc. podwyżki zasadniczej, a początkujący 33 proc. – ale obiecane półtora kafla brutto dotyczyło tzw. średniego wynagrodzenia nauczycieli, czyli sztucznego wskaźnika z Karty nauczyciela, a nie podstawowej pensji. W jego skład wchodzą liczne dodatki, np. za wysługę lat, pracę na wsi czy doraźne zastępstwa. To tak jakby podawać długość penisa z uwzględnieniem kręgosłupa. Większość z tych bonusów nie trafia co miesiąc na konto każdego pedagoga, ale średnia na papierze wygląda imponująco. W efekcie większość belfrów szarpnęła ok. 1,2 tys. zł brutto podwyżki do podstawy pensji, resztę „dociągnięto" za pomocą wspomnianych dodatków.

Można wybaczyć, wszak świeża ekipa dopiero co mozolnie odkrywała postpisowski poziom kreatywnego zadłużenia budżetu. Podczas zjazdu ZNP

w listopadzie 2024 r. Tusk zapowiedział przyspieszenie prac nad obywatelskim projektem rewaloryzacji nauczycielskiego uposażenia. Zajmująca się nim podkomisja sejmowa spotkała się trzy razy, samemu projektowi poświęciła jedno posiedzenie. Ostatnie miało miejsce w marcu 2025 r.

od tego czasu sejm nie informował o terminie kolejnego.

Jeszcze w lipcu br. rzeczniczka prasowa MEN Ewelina Gorczyca zapewniała, że rząd opracowuje własny model zmian, który zastąpi nerwowe negocjacje budżetowe. Póki co konkretów brak, ale wedle zapewnień projekt ma być gotowy w przyszłym roku.

Bogacze

W międzyczasie wiceminister edukacji narodowej Katarzyna Lubnauer zadbała, żeby uodpornić opinię publiczną na nauczycielskie szlochy. Na antenie Radia Zet na pytanie Beaty Lubeckiej, ilu nauczycieli wpada w próg podatkowy 32 proc., wiceminister odpowiedziała, że prawie połowa. Dodała również, że planowana przez rząd reforma podatkowa jest „uszyta pod nauczycieli" i pozwoli im realnie zaoszczędzić pieniądze. Zapomniała wspomnieć, że mowa o tych pedagogach, którzy zasuwają na dwa etaty albo wypełniają luki kadrowe w kilku szkołach.

Wcześniej zachwalała gdzie mogła, że pensje nauczycieli wzrosły w ciągu trzech lat o przeszło 40 proc. Bazowe kwoty wynagrodzenia zasadniczego (dla nauczycieli z tytułem magistra i przygotowaniem pedagogicznym), od których naliczono te wzrosty, wynosiły w 2023 r.: 3690 zł brutto dla nauczyciela początkującego i 3890 zł brutto dla mianowanego. Podwyżki w procentach zawsze wyglądają lepiej niż w złotówkach, ale co się społeczeństwo napluło jadem na szkolnych krezusów, to jego. Zadanie wykonane.

Rok 2027 to koniec obecnej kadencji sejmu i ostateczny termin, w którym koalicja rządząca zobowiązała się zamknąć reformę. Niskie, nieadekwatne do odpowiedzialności zawodowej wynagrodzenia dopiero otwierają listę zarzutów wobec politycznych decydentów. Nauczyciele zarzucają rządzącym chaos legislacyjny, wprowadzanie zmian bez czasu na przygotowanie, przerzucanie odpowiedzialności bez zapewniania kadr, wsparcia specjalistów i środków, rozdmuchaną biurokrację, brak ochrony prawnej i burdel w podstawie programowej. Rozum i doświadczenie podpowiadają, że kreatywność polityków w kwestionowaniu tych postulatów prześcignie ściągi wygenerowane przez chatGPT.

IDALIA DUBICKA

Zrobieni na blacie

Nawrocki – Trzaskowski 2:0

W ostatni weekend sierpnia w prezydenckim ośrodku na Półwyspie Helskim odbyło się dwudniowe wydarzenie pod nazwą „Przyszłość.pl" skierowane do młodych obywateli. Gospodarzami byli prezydent Karol Nawrocki oraz jego małżonka Marta. Równolegle w Olsztynie Campus Polska Rafała Trzaskowskiego urabiał narybek polskich wyborców. Nie zabrakło złośliwości, że pałac prezydencki zainspirował się sprawdzonym od lat projektem. Możliwe. Tak czy inaczej, reklamy, jaką libki zafundowały Nawrockiemu, mógłby pozazdrościć niejeden organizator imprez masowych.

Polityczne balety

Oba wydarzenia miały formalnie zbliżony cel profilowy: aktywizację młodego pokolenia, wsłuchanie się w jego potrzeby i dyskusję o przyszłości Polski. Mówiąc językiem mniej formalnym, złowienie głosów najmłodszego elektoratu w przyszłorocznych wyborach.

Część komentatorów wskazywała, że nagłe otwarcie ściśle zamkniętego dotąd ośrodka w Juracie dla kilkusetosobowego zlotu młodzieży miało odciągnąć uwagę mediów od olsztyńskiego festiwalu Trzaskowskiego. Jeśli faktycznie taki był zamysł, można mówić tylko o sukcesie.

Uczestników obu spędów dopieszczano na wszelkie sposoby. Były panele dyskusyjne, spotkania z gośćmi, rozmowy przy matchy, strefy sportu i podobne duperele. Aby młodzież nie posnęła znudzona intelektualną gadaniną, zaplanowano również koncerty. Na głównej scenie w Olsztynie stałym punktem wieczornego programu rozrywkowego były imprezy *silent disco* (dla niezorientowanych: uczestnicy tańczą do muzyki puszczanej w słuchawkach, żeby łupanina nie irytowała otoczenia). Oprócz tego dla fanów Trzaskowskiego i jego ekipy zaśpiewały Patrycja Markowska i Mery Spolsky. Media głównego nurtu gówno to obeszło, bo prezydent Nawrocki postawił na zgoła inny repertuar.

Zlot młodych patriotów w Juracie uświetnili m.in. brzdąkający Chopina południowokoreańscy pianiści Hyuk i Hyo Lee. Fajne, ale umówmy się: tłumów nie porywa, dupy nie urywa. W przeciwwadze dla wspomnienia o narodowym gruźliku publikę rozbujał aktor, przedsiębiorca i muzyk Konrad Skolimowski, czyli Skolim.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Faszyzm jest niezwykle pociągający – widowiskowy, krzykliwy, prostacki i jednoczący jak katopolo. Dlatego Nawrocki zaprosił do siebie na imprezę w Juracie króla latino disco Skolima, nazwanego patopotworem. Nie twierdzę, że miałby gościć Jakuba Józefa Orlińskiego umiejącego zrobić na scenie fikołka. On niestety śpiewa raczej Vivaldiego" – podsumowała w swoich social mediach Manuela Gretkowska.

„Nie chcę nikogo atakować, ale jeżeli najważniejszym wydarzeniem na spotkaniu prezydenta naszego kraju jest występ Skolima, to jest to porąbane. Porąbane, porąbane!" – pieklił się na scenie podczas sobotniego wystąpienia w Olsztynie Włodzimierz Czarzasty. „Program campusa Nawrockiego w Juracie ma adekwatny poziom: wystąpią Skolim (co śpiewa o bzykaniu panienek na blacie), raper Kubańczyk („Czekaj, suko, aż to jebnie, będę wszędzie"), WonderS (disco polo), Lubert (z zespołu Virgin, w którym śpiewała Doda)" – zżymał się na X Zbigniew Hołdys.

„Stać nas na więcej. Oczywiście – z pewnością dla ogromnej części publiczności koncert Skolima będzie wielką atrakcją, ci ludzie będą się bawić i śpiewać razem z nim. Jednak dzieło muzyczne można oceniać. Krytyka jest narzędziem, które może w takiej sytuacji pomóc dojść do wniosku, że treści prezentowane na tym konkretnym wydarzeniu powinny być wyższych lotów" – skwasiła się edukatorka muzyczna Anna Weber i wraz z mężem Adamem Weberem zaapelowała do Nawrockiego o odwołanie występu Skolimowskiego. Do apelu przyłączyli się Ania Rusowicz, Michał Wiśniewski (sic!) i państwowa komisja ds. przeciwdziałania pedofilii.

Nawrocki nie w ciemię bity, więc nie posłuchał. Z marketingowego punktu widzenia nie mógł podjąć lepszej decyzji.

Poezja śpiewana

O co tyle hałasu? Wedle oficjalnej wypowiedzi na temat prezydenckiego wydarzenia Skolim to „artysta, wokalista i twórca hitów, które łączą ludzi i zostają w pamięci. Scena to jego przestrzeń, muzyka – sposób, w jaki opowiada o emocjach". Kawałki artysty puszcza większość stacji radiowych. Proste melodie wpadają w ucho, a rymowane teksty łatwo zapamiętać: „Zrobię ją na ladzie, chociaż wygląda na damę. Zrobię ją na blacie, lubi rzeczy zakazane. Znów się przy mnie kładzie i ma wszystko rozebrane. Zrobię ją na blacie, lubi rzeczy pojebane" („Kamikadze" – wykonawcy: Mata, Skolim, Khaid. Tak, Mata, syn ulubieńca KO Marcina Matczaka).

W drugiej połowie sierpnia media społecznościowe obiegły nagrania przedstawiające Skolima śpiewającego o robieniu dam na ladzie i blacie ze sceny, na której towarzyszyły mu małe dzieci. Natychmiast podniesiono larum o seksualizacji dzieci. Panie, kto to słyszał…

Po pierwsze: te dzieci przyprowadzili rodzice (jeden tatuś trzymał nawet córkę na rękach tuż obok artysty, pewnie myślała, że miły pan śpiewa o robieniu naleśników). Po drugie: uwierzcie bądź nie, ale dzieci słuchają znacznie grubszych tekstów. Na TikToku np. furorę robi kawałek niejakiej Lolisi pt. „Zrób ze mnie zdzirę": „On jara mnie, kurwa, tak mocno jak żaden, pragnę jego fiutem sterować jak padem, przed nim na kolanach robię, co mi każe, on ma mnie za sukę, ja mam go za władzę"… Nawet smarki z podstawówki kręcą klipy pod ten numer, wyświetlenia filmów z motywem muzycznym Lolisi idą w miliony wyświetleń. Skolim ze swoim repertuarem wypada przy niej jak Arka Noego.

Mimo wszystko zaproszenie Skolimowskiego było strzałem w dychę. Nawrocki wysłał sygnał: pałac prezydencki jest otwarty dla każdego, nie tylko dla elit.

Wkurw i zniesmaczenie wielkomiejskich intelektualistów książkowo umocniły wizerunek prezydenta jako swojskiego chłopaka, który nie boi się iść pod prąd i nie ulega dyktatowi salonów politycznych.

Występ artysty generującego setki milionów wyświetleń w internecie, królującego na wiejskich i małomiasteczkowych koncertach, to ukłon w stronę młodego pokolenia. Prawica pokazała, że wie, czego naprawdę słucha młodzież, i nie ocenia ich gustu. To ukłon w stronę młodych obywateli z Polski powiatowej. Zamiast wielkomiejskiego snobizmu zaserwowano masową tożsamość bez kompleksów. Żeby nie było: młodociana elitka z aglomeracji też zna te kawałki.

Pop i populizm

Wszystkim oburzonym wypada przypomnieć, że właśnie tym Karol Nawrocki przekonał do siebie wyborców. Prosty chłopak z gdańskiego

eprasa.pl 36b301ba96

GADMAN

blokowiska, czynny zawodowo w ustawkach kibic, ochroniarz z Grand Hotelu, mozolnie wspina się po szczeblach kariery i zostaje głową państwa. Piękna historia. Perfekcyjnie uszyta przez spin doktorów kreacja. Skolim ma 29 lat. Zanim zdobył sławę, grywał epizodyczne role w serialach. Dziś szacuje się, że jego roczny przychód ze sceny może wynosić nawet 37 mln zł. Poza działalnością sceniczną Skolimowski ma własną stację benzynową, linię perfum, gadżetów, odzieży i alkoholi. Skolim pełni funkcję magnesu: żeby wpaść do prezydenta, nie trzeba mieć wyższego wykształcenia i wiedzy o traktatach politycznych, mieszkać w wielkim mieście i pracować w korpo, wystarczy chęć dobrej zabawy. Obaj panowie sprzedają marzenie, że można wyjść spod kamienia i osiągnąć sukces. Chuj z tym, że mało komu się to uda, wiara w cuda nic nie kosztuje.

Jest coś jeszcze: zaproszenie kontrowersyjnego artysty masowego generuje ogromne zasięgi tam, gdzie debaty politologiczne nie mają szans. Co prawda w Juracie tłumów nie było, ale prezydencki jubel przebił medialną popularnością spektakularną powódź w Nepalu.

Według raportu analitycznego opublikowanego przez instytut Res Futura, dyskusje wokół wydarzenia wygenerowały w sieci kolejno: 58,4 tys. wypowiedzi o Juracie wobec 46,3 tys. o Campusie (Jurata wygrała, choć trwała trzy dni krócej); 12,8 mln odsłon materiałów o Juracie wobec 7,9 mln o Campusie; i 23,7 proc. reakcji śmiechem pod materiałami o Campusie wobec 11,6 proc. takich samych reakcji pod tekstami o Juracie. Pyszne, jeśli wziąć pod uwagę, że dziś wybory wygrywa się w sieci, a nie stojąc z ulotkami przy straganach.

Na Campusie Polska pojawił się ciekawy panel dyskusyjny: „Dlaczego populizm prawicowy stał się jedną z najskuteczniejszych sił politycznych ostatnich lat?”. Organizatorzy zachęcali: „Uczestnicy porozmawiają o tym, co liberalna demokracja robi źle, gdy reaguje na populizm wyłącznie moralnym oburzeniem, oraz jakie narzędzia – instytucjonalne, społeczne, komunikacyjne i edukacyjne – mogą wzmacniać odporność demokratyczną”. Ciekawe, do jakich wniosków doszli.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

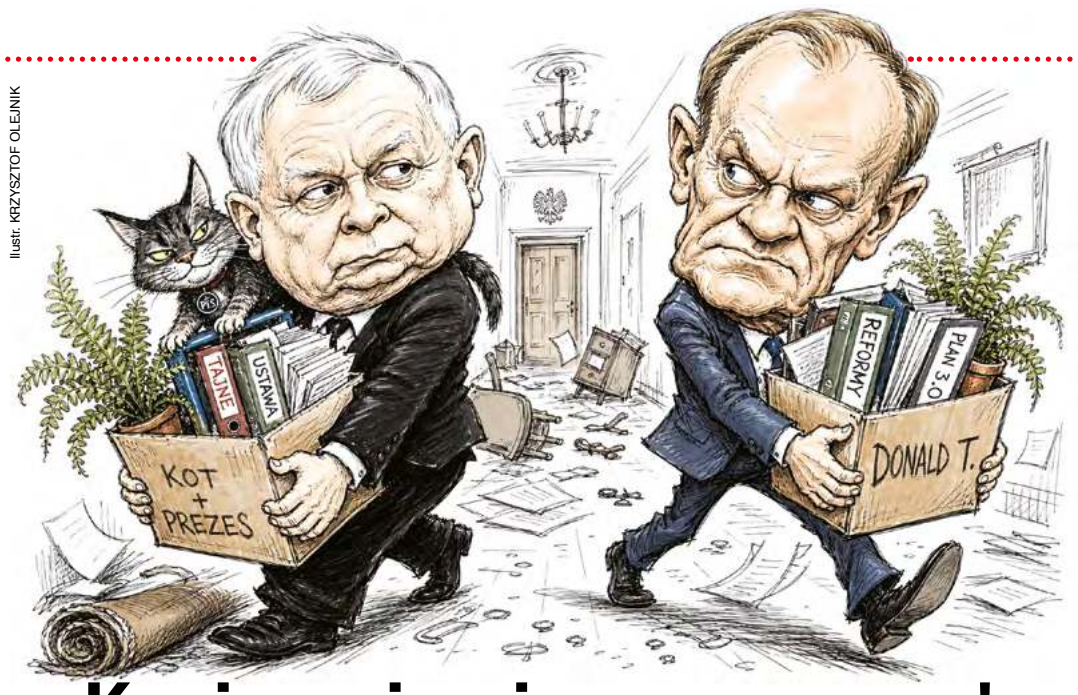

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Koniec z żarciem popcornu!

Czas na meblowanie

Dnia pierwszego września polskie dzieci wracają do ław szkolnych.

Reprezentujący je politycy okupują pierwsze rzędy ław obchodów. 87. już rocznicy napadu Niemiec na Polskę i rozpoczęcia II wojny światowej w Europie.

Dla Chińczyków tamta wojna zaczęła się już w 1937 r., kiedy armie japońskie ruszyły na Szanghaj i Nankin. Dla Amerykanów z USA dopiero w roku 1941, kiedy Japończycy zaatakowali ich na Hawajach.

Ponieważ podstępni Niemcy napadli II RP nad ranem, to teraz pierwsze ceremonie też przed świtem się rozpoczynają. Co sprawia, że pierwszego września polskie elity polityczne są niewyspane.

Tylko to usprawiedliwia ich zachowanie. Plotą wtedy bezkrytycznie wszystko, co im ich „przekazy dnia” nakazują. Zwykle banały i banialuki. Wiedzą, że ludzie pamiętający tamten najazd prawie już powymierali. Nie sprostują.

Zatem dnia pierwszego września po raz 80. usłyszymy, że Polacy bronili się, jak zwykle, bohatersko. Choć wojnę obronną militarnie przegrali, to wygrali ją moralnie. Nuda, nuda, nuda.

Ale tak być musi, aż doczekamy się kolejnego napadu na Polskę i nowych, ożywczych treści w jego rocznicowe obchody.

Dopóki to nie nastąpi, to mowy prawicy narodowo-katolickiej przepełnione będą dodatkową nienawiścią do obecnych obywateli Niemiec. Obarczające ich odpowiedzialnością „za zbrodnie ich dziadków”.

Ponieważ ponad 20 proc. obywateli obecnych Niemiec ma przodków nieetnicznie niemieckich, niemieszkających w ówczesnej III Rzeszy, to ów zarzut jest niezrozumiały. Przecież we wrześniu 1939 r. na Polskę nie napadły wojska tureckie, serbskie, albańskie, syryjskie, irackie, węgierskie, żydowskie, portugalskie, rumuńskie czy duńskie.

Być może w napadającej Polskę armii radzieckiej byli jacyś przodkowie mieszkających obecnie w Niemczech Rosjan, Ukraińców, Ormian, Gruzinów, Czeczenów. Ale o tych polscy prawicowcy nie wspominają – choć może teraz dostanie się też za to Ukraińcom. Wspominają za to o „należnych reparacjach”, jakie Niemcy powinny Polakom wypłacić. Choć doskonale politycy ci wiedzą, że reparacje prawnie nam nie przysługują i dlatego Niemcy ich nie wypłacą.

Ale co to szkodzi obiecać. Może znowu ciemny lud to kupi.

Rząd przemeblowany

Dnia następnego, drugiego września polscy parlamentarzyści wrócą do swych ław. Koniec z wakacyjnym „jedzeniem popcornu” i przyglądaniem się pyskówkom u konkurencji.

Nietrudno przewidzieć, że życie polityczne i medialne będzie się teraz toczyć w oparach afery Zondacrypto. Zapowiadającej się rozwojowo, pełnej zwrotów akcji, wyrazistych bohaterów, jak w porządnym brazylijskim serialu.

Jednocześnie dojdzie do zmian istotnych, choć nie tak nośnych medialnie jak w przypadku ujawnionej właśnie teraz afery. Rząd premiera Tuska zostanie zrekonstruowany.

Zmiany jakieś być muszą, bo nadminister Maciej Berek, odpowiedzialny za pilnowanie realizacji rządowych priorytetów, odchodzi. Ma zostać wybrany do Trybunału Konstytucyjnego. By tam zrealizować podstawowy dla rządzącej jeszcze koalicji priorytet. Przejąć trybunał, uwolnić go od wpływów PiS. Miejsce po Berku wypełni Joanna Knapińska. Ale tylko częściowo. Ta kompetentna legislatorka pokieruje rządowym komitetem stałym i będzie pilnować, aby rządowe projekty rozporządzeń, ustaw i inne „kwity” nie kompromitowały rządu. Aby było przy ich powstawaniu więcej ludzkiej niż sztucznej inteligencji.

A co dalej z 58 priorytetami, jakie rok temu zaprezentował minister Berek jako nowy program rządzącego od dwóch lat premiera Tuska? O nich trzeba zapomnieć. Pomoże w tym zapewne afera Zondacrypto i rekonstrukcja rządu.

A także nowy – niebawem ogłoszony – zrekonstruowany program rządzącego jeszcze rządu.

Opracuje go Rada Przyszłości, powołana wiosną przez premiera Tuska, kierowana przez ministra finansów i gospodarki Andrzeja Domańskiego. Będzie w nim wiele odmienianego na wszystkie przypadki bezpieczeństwa. Bo bezpieczeństwo to sztandar, pod którym rządząca jeszcze koalicja pójdzie do przyszłorocznych wyborów parlamentarnych.

Rządzący jeszcze rząd musi być zrekonstruowany jeszcze z dwóch powodów. Obu faktycznie duperelnych.

Pierwszym jest pan wicemarszałek Szymon Hołownia. Sympatyczny chłopak. Wygadany i czarowny. Ale polityk amator. Parlamentarzysta, któremu – jak wielu innym – sodówka walnęła do głowy. Po dwuletnim sprawowaniu funkcji marszałka sejmu RP, pokorny jak polski katolik, poseł Hołownia nie może znieść upokarzającej go funkcji wicemarszałka. Coś z nim trzeba zrobić.

Nie można go posłać w ambasadory, bo nadal trwa wojna o ambasady na linii prezydent Nawrocki–wicepremier minister Sikorski. Dodatkowo Sikorski znowu ma fazę likwidacji ambasad. Teraz w Syrii i Libii, co ogranicza liczbę zsyłkowych placówek.

Poza tym Hołownia chce teraz zostać ministrem. Nieważne jakim, bo uznał, że będzie jak peerelowski dygnitarz z komedii Barei, „z zawodu ministrem”. Wiewiórki sejmowe ćwierkają, że chce być teraz ministrem kultury albo czegoś podobnego.

Wstąpieniu w ministrowanie Hołowni kibicują niektórzy ministrowie i wielu parlamentarzystów, bo wtedy zastąpiłby Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz. Aktualną minister funduszy i polityki regionalnej.

Liderkę frakcji „opozycji wewnętrznej” w rządzącym jeszcze rządzie Tuska. Frakcji składającej się jedynie z minister Pełczyńskiej-Nałęcz.

Osobę kompetentną. Wygadaną prawie jak Hołownia. Ale niezwykle trudną we współpracy. Tak bardzo, że w polskim parlamencie nikt, poza jednym posłem, jej nie lubi. Nazwiska tego posła nie wymienię. Dla jego dobra.

Ale nowa posada albo ambasada, jaką niebawem obejmie minister Pełczyńska-Nałęcz, zaraz po uministrowieniu wicemarszałka Hołowni, zależy też od nowej układanki w sejmie.

Sejmu przemeblowanie

W sejmie zmiany być muszą, bo po secesji morawian zmieniła się jego polityczna geografia. Teraz największym klubem parlamentarnym będzie klub Koalicji Obywatelskiej. Ma bowiem 156 posłów. Pozycję lidera stracił klub PiS, który może mieć tylko 146 posłów. Za sprawą morawian, którzy utworzyli Klub Parlamentarny Rozwój Plus, liczący przynajmniej 41 posłów.

Czwartym liczebnie jest PSL – Trzecia Droga: 32 mandaty. Potem klub Lewicy, tej koalicyjnej – 21. Za nimi plasuje się Konfederacja Bosaka/Mentzena – 16. Ciut za nimi są mające po 15 posłów kluby: Centrum minister Henning-Kloski i Polska 2050 minister Pełczyńskiej-Nałęcz.

Więcej klubów w sejmie nie ma. Aby być klubem poselskim, trzeba mieć minimum 15 parlamentarzystów w izbie niższej. To zapewne sprawiło, że poprzedni klub Polski 2050 podzielił się tak, aby oba nowe zachowały to piętnastoosobowe minimum.

W sejmie są też trzy koła poselskie. Demokracji Bezpośredniej, czyli kukizowców, mają cztery mandaty. Partii Razeem – też cztery. Konfederacji Korona Polska, czyli braunowców – tylko trzy. No i jeszcze siódemka parlamentarzystów niezrzeszonych.

Na początku kadencji sejm RP przyjął uchwałę, że będzie miał jedynie sześcioro wicemarszałków. Teraz jest pięcioro. Dwójka reprezentuje KO, jeden PSL, jeden Konfederację Bosaka/Mentzena, no i Hołownia połowę dawnej Polski 2050.

Miejsce należne PiS było nieobsadzone, bo PiS uparł się na kandydaturę marszałek poprzedniej kadencji Elżbietę Witek. Nie zgodziła się na to koalicyjna większość, bo marszałek Witek wielce chachmęciła podczas swego marszałkowania.

Teraz PiS proponuje posła Ociepę, który będzie wybrany. Ale swego wicemarszałka chcą mieć też dwa nowe kluby. Rozwój Plus i Centrum. Oczywiście sejm może sobie uchwalić ósemkę wicemarszałków. W Azji to cyfra szczęśliwa. Problemy zaczną się, kiedy trzeba będzie ich odpowiednio usadzić.

Gmach sejmu to nie kondom, nie da się go rozciągać. Dwóch nowych wicemarszałków potrzebuje dwóch nowych gabinetów. Czyli duży salon, przedpokój i pokój dla sekretariatu. Aby dać im godny metraż, trzeba komuś zabrać ten już zajmowany.

Ale to nie koniec sejmowego meblowania. Zgodnie z regulaminem PiS, jako największy klub, miał też największy metraż, najwięcej pokoi dla parlamentarzystów i najbardziej godny gabinet dla prezesa Kaczyńskiego.

Teraz na jego salony wejdą parlamentarzyści KO. Dzięki secesji morawian parlamentarzyści Tuska zyskają metraż i sejmowe mienie pokaczyńskie.

Kanceliści ministra Siwca będą mieli trudną układankę. Przyznając nowe pokoje morawianom, muszą pamiętać, aby nie kolidowały z terenami PiS. Pamiętać o niekonfliktowych korytarzach i toaletach.

Znów pewnie pojawi się problem „przeklętego pokoju nr 143”. Zgodnie z sejmową legendą ten klub lub koło parlamentarne, które ma do dyspozycji ów pokój, po najbliższych wyborach parlamentarnych nie wraca do sejmu.

Pamiętajmy też, że dodatkowi wicemarszałkowie, podobnie jak dodatkowi przewodniczący i wiceprzewodniczący sejmowych komisji, którzy należą się dwóm dodatkowym klubom parlamentarnym, to też dodatkowe wydatki budżetowe. Niebagatelne, jeśli się wszystkie dokładnie policzy.

Każdy rozwód kosztuje. Każdy rozwodnik to wie. Polityczne rozwody też przynoszą liczne koszty. Ale płacą za nie polscy podatnicy.

Polityczni rozwodnicy nie płacą.

PIOTR GADZINOWSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Reakcji fizycznej polegającej na zmianie stanu skupienia posła Jacka Sasina towarzyszyła reakcja chemiczna: utlenianie charakteryzujące się zanikaniem.

To, że Sasina jest coraz mniej, było spowodowane nie działaniem Ozempicu, lecz niejakiego Radosława P., który był przewodniczącym Polskiego Komitetu Olimpijskiego, ale się zbył.

– Jebany Pe – narzekał Sasin. Oczywiście narzekał nie inicjałem, tylko pełnym nazwiskiem, lecz my musimy używać skrótu z ostrożności procesowej. – Pierdolony Pe!

Sasin zdawał sobie sprawę, że jeśli dziś czegoś nie zrobi, to jutro może być za późno. Miał do wyboru: odciąć się od P., potępić go w czambuł, oskarżyć o oszustwo, złodziejstwo i arogancję, sporządzić banner z napisem „Jebać P. i Konfederację” albo uczynić wszystko to naraz, a potem na kolanach przypełznąć do prezesa i ucałować jego prawą dłoń.

• • •

– Jebać Pe i Sasina – powiedział wiceprezes PiS Tobiasz Bocheński, a inni wiceprezesi, którzy łasili się do prezesa Kaczyńskiego, zaśmiali się nerwowo.

– A co, jeśli Jarosław mu wybaczy? – z trwogą w głosie zapytał Mariusz Błaszczak.

– Komu, Pe?! – zawołała Elżbieta Witek.

– Sasinowi, kretynko – szepnęła pod nosem Beata Szydło, a głośno dodała: – Sasinowi, Elu. Co nas obchodzi Pe, którego już nie ma?

– Moim zdaniem nie wybaczy – wtrącił się Joachim Brudziński – ale gdyby jednak myślał o wybaczeniu, trzeba mu to wybić z głowy.

– Komu, Sasinowi? – zdumiała się Witek.

– Jarosławowi, kretynko – po cichu zauważyła tym razem Anna Krupka, sama przecież niebędąca gigantką intelektu. – Jarosławowi, Elu – powiedziała donośniej.

• • •

– Robią ci koło dupy – powiadomił Sasina wiceprezes Antoni Macierewicz. – Jeżeli czegoś nie przedsięweźmiesz, to przez tego kutasa Pe ostatecznie wypadniesz z łask Jarosława.

– Wiem – odparł Sasin.

Kolana owinął już sobie bandażem elastycznym oraz wzmocnił dziegciem i smołą.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 36b301ba96

Don Brzoska i Sancho Gawko

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Walka z cyfrowymi wiatrakami

Milioner, biznesmen i twarz polskiej deregulacji Rafał Brzoska wypowiedział wojnę właścicielowi Facebooka. Do walki z technologicznym gigantem ochoczo dołączyło Ministerstwo Cyfryzacji. Czy prężenie wątłych muskułów ma sens, kiedy rządowi doradza lobbysta Mety, a u jego sterów zasiada polityk podatny na lobbingową pielęgnację?

Przestępstwo klikane

Na należących do koncernu Meta Facebooku i Instagramie codziennie pojawiają się miliony reklam różnych oszustw, czyli tzw. scamów. W Polsce najbardziej rozpowszechnionym na Fejsie scamem jest tzw. *celebrity bait* – zanęta na sławę.

Jak to wygląda? Na tablicy użytkownika pojawia się sponsorowany post z wizerunkiem polityków lub celebrytów. W wersji „na tragedię" post przybiera formę screena z portalu informacyjnego (np. TVN24) ze zdjęciem gwiazdy i krzykliwym nagłówkiem: „To tragiczny koniec gwiazdy!" albo „Wyciekło nagranie, cała Polska milczy". Jeśli ofiara kliknie w newsa, zostaje przekierowana na stronę podszywającą się pod istniejące portale internetowe. Tam przeczyta wyssaną z okrężnicy historię o celebrycie, który np. uciekł w popłochu ze studia nagraniowego, bo wymsknęło mu się, jak łatwo zarabia miliony. Oczywiście pod tekstem odbiorca szajsu znajdzie linki do platform, dzięki którym można się wzbogacić. Dalej z górki, jeśli ofiara łyknie przynętę, zakłada konto na platformie. Na podany przez użytkownika numer telefonu dzwoni żywy oszust – tfu, doradca inwestycyjny – i zaczyna golić klienta. Nakłania do wpłaty wpisowej, która w kilka dni zarabia tysiące złotych – oczywiście tylko na sfałszowanym przez oszustów panelu internetowym. Zachęcony sukcesem „inwestor" za namową „doradcy" wpłaca oszczędności życia i zaczyna przeglądać katalogi wycieczkowe. Problem, jak nietrudno się domyślić, pojawia się przy próbie wypłaty zainwestowanej gotówki. Kontakt z „doradcą" się urywa, a kasa bezpowrotnie znika.

W wersji „na bogactwo" znani i lubiani wzięci na warsztat przez AI reklamują powyższe lewizny wprost. Do reklamowania scamów wykorzystano wizerunki m.in. Grzegorza Brauna, Karola Nawrockiego, Donalda Tuska, Agnieszki Chylińskiej, Kuby Wojewódzkiego… Długo by wymieniać. Podejrzane produkty „reklamowali" kard. Grzegorz Ryś i papież Leon XIV. Twarzą procederu miał nieprzyjemność zostać wspomniany Rafał Brzoska i jego małżonka Omenaa Mensah. Twórca InPostu wkurwiony zalewem scamowych reklam z wizerunkiem swoim i swojej osobistej żony, poszedł do sądu. Prawomocnie wygrał. Sąd uznał, że właściciel Facebooka i Instagrama ponosi odpowiedzialność za treści reklamowe na swoich platformach. Tyle że reklamy wcale z serwisów Mety nie zniknęły.

W sierpniu na Facebooku zaczęły krążyć fałszywe zdjęcia Brzoski w kajdankach. Twórca paczkomatowego biznesu wysmażył na platformach społecznościowych odezwę do menedżerów krajowego oddziału Mety, wymieniając ich z nazwiska: „Na waszym miejscu szukałbym innej pracy, bo pokazuje to, że jesteście polskimi marionetkami w światowym koncernie, który 16 proc. zysków czerpie z fake newsów i fake reklam, na które naciąga społeczeństwo!". W nagrodę zablokowano mu konto na Instagramie. Niedługo później poinformował o uruchomieniu petycji, której postulat zakłada, że platformy mediów społecznościowych miałyby płacić karę w wysokości 150 proc. przychodu uzyskanego z każdej reklamy uznanej za oszustwo. Środki miałyby zasilić fundusz kompensacyjny. Na dedykowanej stronie internetowej udostępniono też niezależne narzędzie ScamWatch, stworzone we współpracy z Fundacją SpeakLeash. Pozwala ono internautom zgłaszać lewe reklamy z Facebooka i Instagrama.

Do milionera chyżo dołączył minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski. W tym momencie zrobiło się ciekawie.

Nieczyste intencje

Wicepremier wysłał do Meta Platform list, w którym domagał się m.in. szczegółowych danych o oszukańczych reklamach pojawiających się w Polsce na Fejsie i Instagramie. Prędko otrzymał odpowiedź od Mety, ale była na tyle niesatysfakcjonująca, że wysłał do Komisji Europejskiej formalny wniosek o ukaranie platformy kwotą 250 mln euro za nabijanie polactwa w butelkę. „Wzywam dodatkowo Metę do natychmiastowego wprowadzenia skutecznych narzędzi eliminujących scam, fałszywe reklamy i promowanie nielegalnych aplikacji. Ten dziki zachód na platformie musi się skończyć" – napisał minister cyfryzacji na X.

Ten sam minister powołał wcześniej do Rady do Spraw Cyfryzacji (m.in.) Jakuba Turowskiego, dyrektora Mety ds. polityki publicznej na Europę Środkowo-Wschodnią.

Nie mówimy o przyklejonej do rządu wydmuszce. Rada do Spraw Cyfryzacji to ustawowy, ministerialny organ o charakterze ekspercko-legislacyjnym, skoncentrowany na polityce informatyzacji państwa. Żeby było mniej zabawnie, Turowski zasiada także w prezydenckiej Radzie Nowych Mediów.

Pan dyrektor szybko odwinął się Brzosce i Gawkowskiemu. W obszernym elaboracie zapewnił, że firma korzysta z „zaawansowanych systemów sztucznej inteligencji, które potrafią powstrzymać więcej oszustw oraz identyfikować i blokować większą liczbę kont podszywających się pod celebrytów i osoby publiczne"; nadmienił też, że „niedawna kampania skierowana przeciwko Mecie promuje fałszywy obraz finansowych motywacji firmy w tym obszarze". Ponoć Meta zapowiedziała rozszerzenie weryfikacji reklamodawców. To bardzo miło, chociaż i tak nikt tego nie sprawdzi. Bo niby jak? Bądźmy poważni.

Nawet jeśli Komisja Europejska przychyli się do wniosku Gawkowskiego, Meta nie zbiednieje od tych 250 mln euro.

A co z pomysłem Rafała Brzoski? Żeby zaproponowany mechanizm wszedł w życie, musiałby zostać wprowadzony do polskiego prawa za pomocą specjalnej ustawy. Gawkowski przypomina, że

rząd miał już gotowe przepisy, które ułatwiłyby walkę z fałszywymi reklamami i zmusiły koncern Meta do natychmiastowego ich usuwania. Cóż z tego? W styczniu prezydent Karol Nawrocki uwalił tę ustawę,

argumentując, że jej zapisy (mające wdrażać unijny Akt o Usługach Cyfrowych – DSA) mogłyby w niekontrolowany sposób ograniczać wolność słowa w internecie. Prezydent generalnie ma raczej duże zaufanie do partnerów zza oceanu.

Nasz rodak Willy

W ostatnich dniach sierpnia Karol Nawrocki zawetował ustawę umożliwiającą pilotaż państwowego, publicznego i bezpłatnego e-dziennika. Decyzję uzasadnił m.in. obawami o bezpieczeństwo danych uczniów, wysokimi kosztami (200 mln zł) i chaosem organizacyjnym. Librus, z którego aktualnie korzystają miliony polskich uczniów, nauczycieli i rodziców – i którego interesów broni prezydent Nawrocki – należy do PCG Polska. Ta jest częścią amerykańskiej Public Consulting Group z Bostonu. Założycielem i CEO firmy jest Amerykanin polskiego pochodzenia William Mosakowski. Sympatyk i donator republikanów, ot taka ciekawostka. Cyfrowo-polityczne cugle są mocno zaciągnięte w kraju nad Wisłą.

IDALIA DUBICKA

Prezydent sobie, rząd sobie, a do szkoły na piechotę

Dzieci gorszego połączenia

Piętnastoletni uczeń z małej miejscowości nie wybiera szkoły, lecz połączenie. Może mieć dobre oceny i plany, ale ostateczna decyzja zapada na przystanku. Jeżeli autobus nie dojeżdża do lepszego liceum albo ostatni kurs powrotny odchodzi przed końcem lekcji, sprawa jest załatwiona.

Konstytucja zapewnia równy dostęp do edukacji, lecz w PKS jej przecież nie czytali.

Z badań UNICEF Polska wynika, że wykluczeniem transportowym zagrożonych jest 14 proc. dzieci i młodzieży, a w niektórych powiatach peryferyjnych już 26 proc. Co piąty uczeń wybrałby inną szkołę, gdyby miał czym do niej dojechać. Dwie trzecie młodych dotkniętych tym problemem musiało zrezygnować ze spotkania z rówieśnikami. Brak autobusu odbiera nie tylko szkołę. Odbiera trening, kino, lekarza, pierwszą randkę i zwyczajne włóczenie się z kolegami. Dziecko na wsi może być wolne i samodzielne, byle do 14.30 trzydzieści. Potem odjeżdża ostatni autobus i zaczyna się areszt domowy.

Wiem, ile może znaczyć sam adres. Byłem dzieckiem z robotniczej rodziny, ale mieszkałem w Warszawie, na Ursynowie, w dość niezwykłej mieszance społecznej.

Dzieci inteligenckie stanowiły pewnie połowę, choć na podwórku ich inteligenckość niewiele znaczyła. Brały po pysku tak samo jak pozostali, jeżeli akurat była ku temu okazja. Nie był to raj równości, lecz wszyscy mogliśmy wsiąść do tego samego autobusu

i pojechać do centrum, kina, szkoły czy biblioteki. Dopiero z czasem zrozumiałem, jak wielkim przywilejem było dorastanie w mieście, które stało otworem także przed dzieckiem robotnika. Transport publiczny nie znosił różnic klasowych, ale pozwalał je przynajmniej przekraczać.

Problem miał częściowo rozwiązać rządowy projekt ustawy o publicznym transporcie zbiorowym. Przewidywał cztery pary połączeń w dni robocze i dwie w dni wolne. Marszałkowie mieli koordynować sieć, a rozkłady jazdy wreszcie znaleźć się w internecie. Nie była to rewolucja ani luksus. Chodziło o to, żeby człowiek mógł rano wyjechać ze swojej miejscowości i wieczorem do niej wrócić bez kupowania samochodu.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rząd nazwał projekt największą reformą od 16 lat. Zapomniał tylko odpowiednio za nią zapłacić. Nowe obowiązki miały spaść na samorządy, lecz pieniędzy w systemie nie przybyło tyle, ile potrzeba. Planowano również skrócić maksymalny czas umów z przewoźnikami z dziesięciu do pięciu lat. Lokalny przewoźnik miał więc kupić autobus za kilka milionów, nie wiedząc, czy po pięciu latach nadal będzie miał kontrakt.

Karol Nawrocki dostrzegł te wady i zawetował całą ustawę. Razem z wadami wyrzucił minimalny standard połączeń, koordynację sieci i cyfrowe rozkłady. Prezydent ogłosił, że broni mieszkańców wsi i małych miast przed przepisami, które mogłyby doprowadzić do likwidacji kursów. Obrona okazała się skuteczna: połączeń nie zlikwiduje zła reforma, ponieważ żadnej reformy nie będzie. Na przystanku wszystko zostaje po staremu, czyli często nie zostaje nic.

Rozpoczęła się wojna komunikatów. Ministerstwo stwierdziło, że przez prezydenta 10 mln Polaków straciło szansę na lepszą komunikację. Pałac odpowiedział, że rząd przygotował bubel i próbował przerzucić koszty na samorządy. Rząd rzeczywiście chciał urządzić transport za cudze pieniądze. Prezydent zatrzymał jednak również potrzebne rozwiązania. Spór o to, kto bardziej troszczy się o pasażerów, jest jedynym połączeniem kursującym bez zakłóceń. Odjeżdża z ministerstwa, dojeżdża do Pałacu i zaraz wraca. Na wieś nie zagląda.

Dzieci nie interesuje, kto ma lepsze uzasadnienie. Muszą dostać się do szkoły i po lekcjach wrócić do domu. Nie mogą zawiesić dorastania, aż rząd przygotuje nową ustawę, sejm ją uchwali, a prezydent okaże się zadowolony. Kiedy politycy zakończą tę podróż, dzisiejszy piętnastolatek może już być dorosły. Będzie za to pamiętał, że nie poszedł do wybranej szkoły, bo jego rodzice nie mieli samochodu.

Rząd miał ustawę bez pieniędzy. Prezydent ma weto bez rozwiązania. Obie strony mają argumenty, oświadczenia i czyste sumienie. Tylko dzieci w tej tusko-nawrockiej Polsce nadal nie mają autobusu.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 36b301ba96

Uberżnięci

NIE rozmawia z KATARZYNĄ DUDĄ, autorką książki „Uberyzacja. O warunkach pracy kurierów”.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Kim jest przeciętny kurier, którego spotykamy, kiedy zamawiamy jedzenie przez aplikację?

– Inaczej wygląda to w Uber Eats, inaczej jeszcze do niedawna wyglądało w Pyszne.pl. Jeśli miałabym narysować przeciętnego kuriera Uber Eats, byłby to dwudziestokilkuletni migrant z Azji, często z Indii, Pakistanu czy Uzbekistanu. Przyjechał, bo w jego kraju nie ma dobrze płatnej pracy. Chce zarobić na dom, własny biznes albo pomóc rodzinie. Polska miała być miejscem, w którym ta inwestycja szybko się zwróci. Na miejscu nie jest tak kolorowo.

– Jak wygląda jego życie poza aplikacją?

– Zwykle mieszka w obiekcie zbiorowego zakwaterowania. Pytanie brzmi tylko, jak bardzo jest źle: czy w hostelu żyje dziesięciu mężczyzn, piętnastu czy trzydziestu. Cztery osoby w zwykłym mieszkaniu to już luksus. Wielu kurierów marzy, żeby zebrać się w czwórkę i wydostać z hostelu. Warunki przypominają więzienie. Obowiązują ścisłe reguły, w kuchni i na korytarzach są kamery, a w jednym pokoju śpią po cztery osoby. Czasami nie jest to nawet hostel, tylko zaadaptowana piwnica. Trudno tam odpocząć, pobyć samemu albo zbudować związek.

– W książce piszesz o radykalnej samotności kurierów. Przecież cały dzień spotykają ludzi.

– Ale często są to spotkania bez spotkania. Klient zamawia jedzenie, zaznacza dostawę pod drzwi i znika. Kurier kładzie torbę na wycieraczce, robi zdjęcie i odchodzi. Nie ma nawet „dzień dobry” ani „dziękuję”. Nazwałam to klientem widmem albo klientem duchem. Kiedy sama jeździłam jako kurierka, wielu klientów również nie chciało mnie zobaczyć, chociaż nie istniała bariera językowa. Dla migranta jest to jednak kolejna zamknięta brama. Mieszka z innymi obcokrajowcami, pracuje dla aplikacji, a kontakt z polskim społeczeństwem kończy się na drzwiach mieszkania. Gdy pytałam kurierów, jak się czują i jak im się pracuje, potrafili opowiadać bardzo długo. Widać było, jak rzadko ktokolwiek chce ich wysłuchać.

– Czy przyjeżdżają do Polski już zadłużeni?

– Nie wszyscy mówili o długach. Częściej słyszałam, że wydali wszystko, co mieli oni albo ich rodziny. Opłacili pośrednika, dokumenty i podróż. Spłukali się, traktując przyjazd jak inwestycję. To też tworzy pułapkę. Ktoś, kto nie ma dokąd wrócić i musi wysyłać pieniądze rodzinie, przyjmie warunki, na które człowiek posiadający mieszkanie i sieć znajomych może się nie zgodzić. Do tego dochodzi nieznajomość języka. Trudno porozumieć się z pomocą techniczną, wynająć mieszkanie, kupić telefon czy załatwić sprawę urzędową. Kurierzy opowiadali, że padają przy tym ofiarą oszustów. Wokół ich pracy wyrósł przemysł zarabiający na tym, że są nowi, samotni i niewiele wiedzą o Polsce.

– Restauracja dzięki kurierowi sprzedaje jedzenie, ale nie zawsze pozwala mu wejść do środka.

– Niektóre restauracje wypraszają kurierów, bo spocony człowiek z jaskrawą torbą psuje klientom widok. Ma czekać na mrozie albo w deszczu, jak pies przywiązany przed sklepem. Markety często w ogóle nie przewidują miejsca dla dostawców. To skandal, bo ten człowiek pozwala im zarabiać.

Razi mnie hipokryzja lokali, które sprzedają wegańskie jedzenie i budują wizerunek etycznego biznesu, a człowieka wystawiają na mróz. Potem restauracja i klient obwiniają go za zimną pizzę, rozlaną colę albo spóźnienie.

Nie da się zimą przewieźć na rowerze jedzenia przez pół miasta i dostarczyć go w stanie, w jakim wyszło z pieca. Kto chce to zagwarantować, niech zatrudni własnego kuriera i zapewni mu odpowiedni pojazd.

– Sama zatrudniłaś się jako kurierka. Co najbardziej cię zaskoczyło?

– Nie ciężar plecaka, lecz umowy. Pracownik partnera flotowego miał gotową formułkę wyjaśniającą, dlaczego „opłaca mi się” połączenie zlecenia z umową najmu sprzętu. W różnych firmach słyszałam prawie identyczne wyjaśnienia. To model biznesowy i lekcja optymalizacji kosztów udzielana kurierowi na dzień dobry. Firma udaje, że wynajmuje od człowieka jego rower, chociaż nikt z firmy na nim nie jeździ. Konstrukcja służy rozliczeniu pieniędzy wypłacanych kurierowi. Mówi się o tym od lat, a praktyka nadal funkcjonuje niemal jawnie. W terenie uderzyła mnie bezosobowość. Człowieka reprezentującego firmę widziałam przy podpisywaniu umowy. Później pracowałam już dla aplikacji. Nie widziałam szefa, często również klientów. Praca się odbywała, jedzenie zmieniało miejsce, pieniądze krążyły, tylko relacje między ludźmi zniknęły.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– W aplikacji można zobaczyć 25 albo 30 zł za godzinę. Ile rzeczywiście zostaje kurierowi?

– Po odjęciu wszystkich kosztów szacuję realny zarobek wielu kurierów na 13–14 zł za godzinę. Trudno podać jedną stawkę dla całej branży, ale mechanizm wszędzie jest podobny. Kurier widzi przychód, nie dochód. Musi odjąć opłatę dla partnera flotowego, koszt dostępu do aplikacji, rower, jego naprawy, telefon, internet, ubrania i pranie. Niedawno dostałam ofertę wynajęcia roweru elektrycznego za 180 zł tygodniowo. To około 780 zł miesięcznie, a niektórzy płacą 900 zł. Torba kosztuje około 200 zł, zużywa się także prywatny telefon. W normalnym miejscu pracy narzędzia zapewnia pracodawca. Tutaj koszty i ryzyko przerzucono na kuriera. Od stycznia minimalna stawka przy umowie-zleceniu wynosi 31,40 zł brutto za godzinę. Platformy budują jednak model tak, aby kurier otrzymywał zapłatę za wykonane zamówienie, a nie gwarantowaną stawkę za każdą godzinę gotowości. Może wyjechać na miasto, czekać na zlecenia i nie zarobić prawie nic.

– Pyszne.pl rozwiązało około pięciu tysięcy umów z kurierami i skierowało ich do partnerów flotowych. To przyszłość całej branży?

– Pyszne.pl nie było wzorowym pracodawcą. Ta praca spełniała wiele cech stosunku pracy, więc powinna być umowa o pracę. Firma zapewniała jednak grafik i stawkę godzinową. Kurier wiedział, że za gotowość do pracy otrzyma pieniądze również wtedy, gdy zamówień będzie mniej. Teraz Pyszne.pl równa w dół do Uber Eats i Glovo. Kurierzy mają trafić do zewnętrznych partnerów i zarabiać głównie od dostawy. Firma pozbywa się ludzi, ale zachowuje ich pracę. Ryzyko należy do kuriera, kontrola nadal do platformy. To niebezpieczny sygnał dla całego rynku.

– Rządowy projekt ustawy platformowej wprowadza domniemanie stosunku pracy, także w postępowaniach przed Państwową Inspekcją Pracy. To wystarczy?

– Dużo zależy od ostatecznego kształtu ustawy i jej egzekwowania. Platformy będą próbowały pozbawić przepisy zębów. Domniemanie stosunku pracy może pomóc, ale państwo nie może czekać, aż każdy kurier sam pójdzie do sądu. W przypadku migrantów z Azji nawet jeden procent pozywających platformę uważałabym za wynik optymistyczny. Człowiek, który za miesiąc może nie mieć pieniędzy na hostel, nie będzie ryzykował odcięcia od aplikacji. Dlatego tak ważne jest działanie PIP z urzędu, a nie przerzucanie odpowiedzialności za egzekwowanie prawa na najsłabszego pracownika.

– Co może zrobić klient poza wręczeniem napiwku?

– Jeżeli restauracja ma własną dostawę, warto zamawiać bezpośrednio, zamiast karmić platformę pobierającą marżę od lokalu i opłaty od kuriera. Warto zamawiać z rozsądnej odległości i nie urządzać awantury o colę wylaną podczas jazdy po dziurawej ulicy. Napiwek oczywiście pomaga. Pomaga również zwykłe „dzień dobry”. Nie udawajmy jednak, że uprzejmy klient naprawi rynek pracy. To są drobne gesty wobec człowieka, któremu potrzebne są przede wszystkim prawa.

– Jakie powinno być absolutne minimum?

– Zagwarantowanie co najmniej minimalnej stawki godzinowej. Czas oczekiwania na zamówienie, bycie do dyspozycji firmy, powinien być wliczany do czasu pracy. Koniec fikcyjnych umów najmu sprzętu. Rower, kask i torbę powinna zapewniać firma albo wypłacać za nie uczciwy ekwiwalent. To może brzmieć skromnie, bo powinniśmy rozmawiać o umowach o pracę. Tyle że w tej branży walka toczy się dziś o rzeczy zupełnie podstawowe: żeby człowiek otrzymał ustawowe minimum i nie musiał jeszcze płacić firmie za narzędzie, którym wykonuje dla niej pracę.

Rozmawiała
WIOLETA KRYSIAK-DUSZCZENKO

SŁOWO CZERWONE

Cud dla nielicznych

Opowieści o polskim dobrobycie są cokolwiek przesadzone

Transformacja ustrojowa opiewana jest przez elity jako wielki sukces. Dochód narodowy się potroił i wciąż rośnie – więc sukces. Słyszymy, że inni nam zazdroszczą. Mamy wspaniałą sieć autostrad. Nowe stadiony, drapacze chmur i co tam jeszcze. Urządzono nawet hucpę pod hasłem „Marka Polska”, a brat posłanki Jachiry, znanej z absurdalnie neoliberalnych wypowiedzi, twierdzi, że to zasługa pracowitości naszych przedsiębiorców.

Nigdy nie zapomnę, jak prezydent Komorowski namawiał inne narody do naśladowania polskich pracowników w ich dzielności, bo potrafią za małe wynagrodzenie bardzo dużo pracować. Podobnie prezydent Lech Wałęsa namawiał kapitał zagraniczny do inwestowania w Polsce, bo w Polsce jest tania siła robocza. Dziś mówi się jednak wyłącznie o zasługach naszych biznesmenów, zupełnie jaka gdyby tego naszego „cudu” dokonywali własnoręcznie bez udziału załóg pracowniczych.

Było kiedyś takie porzekadło: „uczciwością i pracą ludzie się bogacą”. Teraz jakby wyszło z obiegu, bo Polacy pracują – w wymiarze czasowym – najwięcej w Europie, ale z bogaceniem gorzej. Miarą bogactwa są bowiem zasoby, a tych większość z nas nie ma. Co prawda 83 proc. badanych ma jakieś tam zaskórniaki – ale co trzecia osoba utrzymałaby się dzięki nim maksymalnie przez miesiąc. Co czwarta osoba ma mniej niż 5000 zł. 17 proc. dorosłych Polaków nie posiada żadnych oszczędności.

Ludzie zarabiają za mało, żeby odkładać, więc pracują dużo więcej niż w innych krajach Unii Europejskiej. Zasuwamy grubo ponad 2000 godzin rocznie. Dlaczego? Bo nam za mało płacą.

Utrata pracy lub poważna choroba w rodzinie powoduje totalny krach, bo państwo nie zapewnia nikomu miękkiego lądowania. Co czwarta rodzina pożycza u lichwiarzy, żeby przeżyć do pierwszego. Jak wynika z badań Thomasa Piketty'ego, wzrost dochodu narodowego nie ma żadnego wpływu na poziom życia połowy pracujących Polaków.

W tej uśmiechniętej Polsce dwa najważniejsze dobra – mieszkanie i opieka medyczna – nie są powszechnie dostępne. Ci na górze drabiny dochodowej nie tylko biorą sobie nieproporcjonalnie więcej ze wspólnie wypracowanego dochodu, ale wręcz przyczyniają się do zubożenia tych na dole. Kiedy mieszkania stały się lokatą kapitału i nie służą już do mieszkania, ceny najmu i kupna rosną i coraz mniej ludzi stać na zaspokajanie potrzeb mieszkaniowych. W samej Warszawie jest 200 tys. pustych mieszkań.

Poziom naszej ochrony zdrowia jest wysoki i w porównaniu z innymi krajami Europy nie mamy się czego wstydzić. Tylko że ta znakomita służba zdrowia jest dla wybranych – tych, którzy dzięki pieniądzom (korupcja) lub układom (Szpital Południowy) zdołają się do niej dopchać. Można więc powiedzieć, że mamy nowoczesne szpitale, znakomitych lekarzy i brak powszechnego dostępu do leczenia.

Bardzo często słyszy się, jak sfrustrowani ta sytuacją obywatele twierdzą, że to przez imigrację; że mieszkania i miejsca w szpitalach zabierają nam Ukraińcy. Łatwiej zwalić na obcego niż skutecznie przeciwdziałać niesprawiedliwemu rozdziałowi dóbr. A przecież gdyby Ukraińcom wszystko odebrać, to i tak dla nas nie będzie, bo w Polsce wszystko jest dla bogatych.

Ilustr. KROKODYL

Metr mieszkania w Warszawie kosztuje przeciętnie 20 tys. zł. Mieszkania są dla bogatych, niezależnie jakiej są narodowości, a ci, co pokupowali sobie ich wiele, nie narzekają, że obcokrajowcy wykupują. Polską rządzą ci, którzy leczą się prywatnie, albo przekupują urzędników, żeby korzystać z badań i leczenia bez kolejki.

Co z tego, ze dochód narodowy rośnie – skoro wciąż mamy jedną z najniższych składek zdrowotnych w UE? Są pieniądze na drogi, nowoczesny sprzęt medyczny, na bajońskie kontrakty dla lekarzy specjalistów. Brakuje tylko na leczenie. Dlatego drogi sprzęt stoi nieużywany w oczekiwaniu na kogoś, kto za leczenie po prostu zapłaci.

Ludzie mają głodowe emerytury, bo pracowali na umowach śmieciowych (pardon, cywilnoprawnych). Jeżeli nie mają dobrze zarabiających dzieci, to się prawie nie leczą i umierają przedwcześnie. Pomoc społeczna prawie nie istnieje, bo żeby z niej korzystać, trzeba mieć mniej niż 823 zł na osobę w rodzinie. Ktoś, kto ma taki dochód, żyje w absolutnej nędzy.

Kraj, który jeździ na zjazdy G20 – najbogatszych krajów świata – dopuszcza do tego, żeby część ludności nie dojadała.

Ci, którzy dorabiają się „ciężką pracą swoich włościan”, rządzą krajem i pilnują, żeby im państwo nie podniosło podatków. Ochoczo głosują za wydawaniem coraz większej części dochodu narodowego na zbrojenia, bo chcą zaspokoić swą potrzebę bezpieczeństwa.

Wszystkie inne potrzeby mają wszak zaspokojone z naddatkiem.

I mimo tej całej biedy i niesprawiedliwości, inaczej niż w Chinach, polscy pracownicy nie strajkują, bo ich nasi super pracowici biznesmeni skutecznie trzymają za twarz.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 36b301ba96

Polska podłość powszechna

Swojski (C)Hamlet

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Nadszedł wrzesień. Miesiąc idealny dla naszego cierpiętnictwa, kiedy to – skądinąd jakieś 87 lat temu, ale Polak niczym słoń pamiętliwym jest stworzeniem – znowu będzie o tym, jak Hitler i Stalin tę krainę mlekiem i miodem płynącą podle zaatakowali, mordując tak zacny naród.

Przy tej okazji nasunęła mi się refleksja idąca w poprzek naszej „historii sufferingu" (by użyć skrzydlatej frazy z zabawnego dokumentu, jakim jest „Polaków portret własny. Raport z badań DNA marki Polska"), że największe cierpienia i ból sprawiamy sobie sami. Dokładnie tak!

Wszem wobec można skarżyć się na Ukraińców, Żydów, Brukselę, Rosjan, Niemców, kolorowych uchodźców, gejów, feministki czy cyklistów szkodzących Polakom od stuleci lub od niedawna. Ale – z czego skądinąd zdaje sobie sprawę większość rodaków – tkwiące głęboko w narodowym autostereotypie przekonanie, że nikt tak nie dojebie Polakowi bądź Polce, jak inny Polak czy Polka.

Czas spojrzeć w otchłań – pamiętając, iż już Fryderyk Nietzsche wiedział, że wtedy też otchłań patrzy na nas! – polskiego chamstwa i podłości przenikających nas zewsząd niczym dym wędzący się schab. Będzie to operacja bez znieczulenia i na żywym, choć dość lichym organizmie.

Wyjebane na innych

Parę lat temu raper Bedoes nieco płaczliwie skarżył się w utworze „Rewolucja romantyczna", że „ten kraj upada i woła tylko o miłość", a „Polacy w Polsce tylko kminią, jak by tu sprawić drugiemu przykrość". Ten kawałek przypomniał mi się, gdy dowiedziałam się, że mój kumpel z Poznania ledwo zipie z nerwów i zmęczenia długotrwałym stresem.

Zaznaczę, że kumpel to facet w średnim wieku, przykładny obywatel, mieszkający z żoną, małym dzieckiem i psem w bloku, w mieszkaniu na kredyt. Jeden z milionów. Człowiek grzeczny i życzliwy wobec innych, słowem do rany przyłóż. Od paru miesięcy przeżywa gehennę z powodu aspołecznego sąsiada, który najebany od zmierzchu do świtu – a niekiedy i w nocy – chla i puszcza na pełny regulator muzykę. Wzywane do działania wspólnota mieszkaniowa i policja bezradnie rozkładały ręce: no, to przykre, ale nic nie da się zrobić…

I sąsiad w dupie ma wszystkich wokół, wszak wolnoć Tomku w swoim domku, a szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Dwa miesiące temu kumpel kolejny raz grzecznie zapukał do sąsiada, mówiąc, że gdy ten nie ściszy muzyki, wezwie policję. Usłyszał od wymachującej nożem mendy: – Spierdalaj, najpierw oskóruję twojego psa, a potem żonę i ciebie.

W nocy policja zwinęła agresora, który następnego dnia po południu wrócił do domu. Po dwóch dniach wrócił do zatruwania życia sąsiadom, czyniąc to jakby jeszcze bardziej złośliwie i uporczywie. Kumpel i jego żona wchodzą na swoją klatkę schodową z gazem pieprzowym w garści i ze ściśniętym gardłem.

Funkcjonariusze policji tłumaczą, że jego sąsiad jest emerytowanym wojskowym, a ci znani są często organom ścigania z tego, że nic do nich nie dociera, bo mają zryty beret. Lata karności i słuchania rozkazów, że o chlaniu notorycznym nie wspomnę (choć młodsi lubią też coś do noska wciągnąć), nauczyły ich przestrzegania ścisłej hierarchii, więc muszą we własnym bloku robić za generałów, twardą ręką podporządkowujących sobie wszystkich wokół.

Grzeczny kumpel najchętniej by się wyprowadził, ale nigdy by nie chciał nikogo wsadzić na minę sąsiada socjopaty. Sprawa o groźby karalne potrwa najmniej ze dwa lata.

Jak mówił poeta, gwałt niech się gwałtem odciska, więc poradziłam koledze, że może najlepiej będzie wynająć to mieszkanie jakiemuś łysemu dresiarzowi, bo polski cham mówi jedynie językiem przemocy i jedynie ten język rozumie i akceptuje.

Oczywiście, wszelkie problemy kolegi są jego wyłączną „winą", bo nie jest agresywną łajzą i próbuje wszelkie konflikty rozwiązać w sposób kulturalny, pokojowy, zgodny z prawem. A jak wiadomo, to dziki kraj i państwo z dykty, które napina się, by udowodnić, jak wspaniale dba o bezpieczeństwo rodaków, ale gdy jest ono faktycznie zagrożone – a agresor nie jest Gruzinem, którego można wydalić, lecz Polakiem – bezwładnie rozkłada ręce.

Myliłby się ktoś, kto sądzi, że wyprowadzam generalizacje, opierając się na materiale anegdotycznym i jednostkowym. Dowodów na to, że – jak krzyczał o Polakach punkowy skandalista Marszałek – „tak, to stereotyp, ale ile w nim prawdy: naród wcale nie piękny, bo ludzie kurwy". Gwoli ścisłości inny, niepunkowy marszałek (Józef Piłsudski) oryginalnie miał rzec: „Naród piękny, tylko ludzie chuje".

Zgnoić w pracy

Dwa lata temu Katarzyna Bednarczykówna opublikowała książkę pod znamiennym tytułem „Masz się łasić. Mobbing w Polsce", będącą owocem rozmów z setkami osób. Autorka trzeźwo zauważa, że tzw. linia orzecznicza polskiego sądownictwa (od sądów rejonowych po Sąd Najwyższy) jest taka, że praktycznie nie sposób w naszym kraju udowodnić komukolwiek stosowania mobbingu.

Można cię w pracy zeszmacić, wyśmiewać, sekować, a dla kasty sędziowskiej – i to jeszcze przed epoką jakoby nieprawomyślnych neosędziów – nie będzie to powodem do skazania mobbera czy mobberki. Wedle Bednarczykówny „udowodnienie mobbingu w Polsce graniczy z cudem", a przemocowe żądanie uległości w pracy jest świadectwem „naszej cichej narodowej zgody na wzajemne wyniszczanie".

Co ciekawe, badania wykazują, że z przemocowymi zachowaniami w pracy spotkało się aż 90 proc. Polaków. Od siebie dodam, że te pozostałe 10 proc. to albo żyje na innej planecie, albo sama stosuje przemoc w pracy, wypierając to.

Bednarczykówna w jednym z wywiadów zauważa: „Ofiary mobbingu to zwykle osoby bardzo kompetentne, inteligentne, ale też wrażliwe. Pracownicy, którzy nie chodzą na układy i są intelektualnym zagrożeniem dla mobbera. Takie, które dzięki swoim umiejętnościom i zdolnościom, ambicji mogą wygryźć go ze stanowiska, pracują lepiej i ciężej".

Błędem byłoby sądzić, że problem tkwi tylko i wyłącznie – a nawet przede wszystkim – w mobberze. Zdaniem prawniczki i psycholożki Karoliny Czapskiej-Małeckiej z UW na rozwój mobbingu kluczowy wpływ ma kultura organizacji.

Nie mogę opędzić się od myśli, że w Polsce nadal relacje pańszczyźniane mają się doskonale. W kontekście współczesnego mobbingu wybrzmiewa w mych uszach fragment książki „Chamstwo" Kacpra Pobłockiego. Podkreśla on, iż normalną reakcją człowieka na okrucieństwo jest współczucie, lecz jest ono przytłumiane przez „system pielęgnowanych racjonalizacji": „Na przykład idei, że upodlenie człowieka przez człowieka ma głębsze uzasadnienie – albo że jest przykrą koniecznością. To właśnie mówił hrabia Wielhorski:

> owszem, okładanie razami bliźnich jest sprzeczne z naturą, lecz niestety, bez kar cielesnych nie ma pańszczyzny, bez pańszczyzny nie ma bogactwa, a bez bogactwa nie ma klasy panów".

Przy czym dzisiaj jest nieco inaczej, bo chłop pańszczyźniany był przypisany do ziemi, a dziś można w miarę swobodnie zmienić pracę. A zespół, który pracuje pod knutem swego pana i władcy – krwiożerczego menedżera, dyrektora czy kierownika – najpierw będzie harował ponad miarę, ale potem padnie wyczerpany na pysk i jego produktywność zleci na łeb na szyję.

Prawdziwą szkołę przemocy, lekko zawoalowanej niemocą, dają politycy. I nie, nie zamierzam się skupiać na ich pyskówkach, od których zęby bolą, furiackiej i teatralnej agresji – lecz na sprawach o wiele poważniejszych.

Coś tu śmierdzi

Od paru miesięcy w mediach pojawiają się – trochę śmieszne, trochę straszne – opowieści o tym, jak polski chłop (a chłop potęgą jest i basta!) jest sekowany przez mieszczuchów napływających na wieś. A to smród gnoju z obory im przeszkadza, a to wykonywanie prac polowych w godzinach wieczornych. Idą oni ze swymi sprawami do sądów. I wygrywają.

Politycy wszystkich barw – jak wiadomo, rząd i opozycja to najlepsza koalicja – pochylili się nad niedolą chłopską, uciskiem niespotykanym od czasów obowiązkowych dostaw płodów rolnych za komuny. Po prawdzie dziś rolnicy, a raczej bambrzy, dopominają się wciąż kolejnych dopłat i ulg, ale będą bronić gnojowiska jak niepodległości.

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi wyszło oczekiwaniom ludu naprzeciw i przyjęło projekt, który ma postawić do pionu mieszczuchów na obszarach wiejskich. I tak będą oni musieli podpisać swoistą lojalkę, że na obszarze, gdzie mieszkają, prowadzi się lub może prowadzić produkcję żywności, „a w związku z tym – uzasadnia resort rolnictwa – mogą występować zwykłe następstwa prowadzenia działalności rolniczej, w szczególności hałas, zapachy, zwiększony ruch pojazdów i maszyn rolniczych oraz wykonywanie prac polowych, mogące powodować okresowe zakłócenia korzystania z nabywanej nieruchomości. Nabywca oświadcza ponadto, że powyższe okoliczności są mu znane i akceptowane".

Pomijając fakt, że wieś pełni wiele funkcji, włącznie z wypoczynkową i rekreacyjną, dodam, że istnieją poważne przesłanki ku temu, by sądzić, że nowe prawo będzie wykorzystane głównie do zmuszenia mieszkańców obszarów wiejskich na godzenie się z masową hodowlą zwierząt, np. świń, drobiu czy bydła. A smród wydobywający się z tego piekła przemysłowej hodowli jest nie do wyobrażenia, że o odgłosach zwierząt nie wspomnę.

Nie posądzałabym klasy politycznej o tak niecne intencje, gdyby w naszym kraju istniała ustawa odorowa. Bo dziś nie ma żadnych konkretnych uregulowań dotyczących odoru, który ludziom nie daje żyć – nie tylko zresztą na wsiach, ale i w miastach.

Dziwnym trafem politycy nie pochylili się nad mieszkańcami wsi (w tym rolnikami) protestującymi w różnych miejscach kraju przeciwko powstaniu czy funkcjonowaniu przemysłowych chlewni. Jak chociażby mówili mieszkańcy w miejscowości Glina nieopodal Piotrkowa Trybunalskiego: „Ja to bym nie chciał tej chlewni, to będzie wielki hałas i smrody, że tak powiem", „Duchota, hałas, uciążliwości nie tylko zapachowe, ale wiadomo dźwiękowe, które będą".

W mediach od lat pojawiały się choćby zarzuty natury prawnej, że o etyce nie wspomnę, dotyczące brata założyciela i głównego udziałowca Dino – Wojciecha Biernackiego, którego fermy miały działać bez zezwolenia, nielegalnie pobierać wodę, trzykrotnie przekraczać dopuszczalne pogłowie bydła, a krowy w nich brodziły we własnym gównie.

Czy którykolwiek z polskich polityków kiwnął choćby palcem, aby na poziomie sejmu zająć się tą sprawą, która jest czubkiem góry lodowej? A przecież już starożytni Rzymianie zwykli mawiać, że dobre prawa biorą się ze złych obyczajów. W Polsce jest dokładnie odwrotnie: to złe prawa biorą się ze złych obyczajów, sankcjonując brutalne relacje między silnymi i słabymi. Pogarda dla innych.

Niech podsumowaniem będzie fragment „Modlitwy Polaka" z filmu „Dzień świra":

„Kto ja jestem? Polak mały.
Mały, zawistny i podły.
Jaki znak mój? Krwawe gały.
Oto wznoszę swoje modły
Do Boga, Marii i Syna:
Zniszczcie tego skurwysyna,
Mego brata, sąsiada,
Tego wroga, tego gada".

KAT

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W Gdyni doszło do najbardziej żałosnego porwania w dziejach światowej kryminalistyki. Dwóch śmiałków uprowadziło meleksa wraz z ośmiorgiem turystów, co udowadnia, że polski terroryzm jest równie przaśny co napęd na akumulator. Pasażerowie wyskakiwali z pojazdu w biegu. Przy prędkości kosiarki do trawy musiało to wyglądać jak scena z filmu akcji dla trzylatków. Media milczą o motywach, ale podejrzewam, że sprawcy po prostu chcieli poczuć wiatr we włosach przy zawrotnych 15 km/h. Złapano ich błyskawicznie, bo meleks ma to do siebie, że trudno nim uciec przed kimkolwiek, kto nie porusza się o kulach.

▮ W markecie przy Alei Krakowskiej w Warszawie 66-letni obywatel postanowił nabyć rybę, a nabył wieczność. Bramka zapiszczała, ochroniarz poczuł zew wielkiej przygody i wezwał policję. Serce klienta nie wytrzymało. Godzinna reanimacja zakończyła się pełnym sukcesem kostnicy. Ryba była na paragonie, ale życie nie podlegało zwrotowi. Wyjść po kolację, a trafić na sekcję zwłok z powodu błędu przy kasie – oto absurdalny finał egzystencji w świątyni konsumpcji.

▮ W Krakowie doszło do kolejnej odsłony narodowego sportu, jakim jest polowanie na pieszych przy użyciu niemieckiej technologii motoryzacyjnej. Hubert B., lat 26, w swoim Volkswagenie z prędkością dźwięku wjechał na rondo. Efekt? Dwa trupy, osierocone niemowlę i klasyczna linia obrony: „nie przyznaję się". Najbardziej fascynująca jest jednak postawa krakowskich urzędników. W maju, kiedy mieszkańcy Zabłocia skomleli o szykany, magistrat orzekł, że pomiary nie wykazują zagrożenia. P.o. prezydenta Krakowa Stanisław Kracik powiedział, że teraz weźmie się do roboty.

▮ Statystyka za 2025 r. to ostateczny dowód, że trzeźwość w Polsce jest śmiertelnie niebezpieczna. Odnotowano 391,8 tys. kolizji i 20,9 tys. wypadków, w których zginęło 1660 osób. I co? Pijani sprawcy odpowiadają za marne 10 proc. zgonów. Prawdziwymi rzeźnikami są trzeźwi patrioci, którzy z jasnym umysłem wysłali do piachu 536 osób z powodu samej tylko prędkości. Cały ten narodowy jazgot na pijanych kierowców to zasłona dymna. Liczby pokazują jasno, że trzeźwy za kółkiem jest najbardziej nieobliczalną bestią. Pijak zazwyczaj jedzie wolno i boi się rowu. Trzeźwy idiota uważa, że jest nieśmiertelny. Chcesz przeżyć na polskiej drodze, unikaj trzeźwych.

▮ Michał S., prezes od nieruchomości, które istnieją głównie w sferze marzeń i prospektów emisyjnych, opuścił mury więzienne za marne 7 mln zł. 7 mln zł przy 3 mld strat to jak napiwek zostawiony kelnerowi. Frasuje mnie ta prokuratorska skrupulatność w sprawdzaniu pochodzenia kaucji. Uznali, że pieniądze są „czyste". To doprawdy urocze – człowiek oskarżony o wyprowadzenie miliardów nagle wyciąga z tylnej kieszeni spodni siedem baniek, a państwo z powagą stwierdza: „Owszem, te są uczciwie zarobione, proszę bardzo, oto klucze do wyjścia". Klasyka: wielkie bum, medialne kajdanki, a potem ciche wyjście bocznymi drzwiami, gdy emocje opadną. Miliard to w Polsce magiczna granica. Powyżej niej prawo przestaje być kodeksem, a staje się cennikiem usług negocjacyjnych. Smacznego brunchu, Panie Prezesie. Frajerzy zapłacili.

▮ Lubelska policja urządziła wielkie polowanie na płotki, wyławiając 112 nieszczęśników, którzy nie mieli szczęścia urodzić się milionerami. Mamy tu pełen przekrój narodowej mizerii: od oszustki grającej zawał z wdziękiem prowincjonalnej aktorki po złodzieja, który sam na siebie doniósł, bo widocznie więzienna prycza wydała mu się atrakcyjniejsza od wolności na kredyt. Gdyby ci ludzie dysponowali 7 mln zł na kaucję, ich procesy trwałyby dekady, a oni sami udzielaliby wywiadów o prześladowaniach politycznych z pokładu jachtu. Ponieważ są biedni, pozostaje im tylko darmowy transport radiowozem i nadzieja, że w celi będzie cieplej niż pod blokiem.

▮ W II kwartale 2026 r. warszawscy deweloperzy wypchnęli na rynek 4753 mieszkania – o 67 proc. więcej niż kwartał wcześniej. Sprzedano zaledwie 3840 lokali, więc betonowa podaż przerosła popyt szybciej, niż deweloperzy zdążyli policzyć zyski. Tymczasem

Ilustr. PAWEŁ FERENC

GUS wyliczył, że w Warszawie stoi prawie 207 tys. niezamieszkanych mieszkań. Kapitalizm to doprawdy frapujący system: po co właściwie budować kolejne klatki, skoro w stolicy pustostanów jest tyle, że starczyłoby na całkiem spore miasto?

▮ W Gorzowie przy ulicy Obotryckiej trwa festiwal polskiej zaradności. Sklep po 23.00 udaje bar. Ekspedientka z namaszczeniem otwiera flaszki, a ceny skaczą o 100 proc. To podatek od pragnienia i urzędniczej tępoty. Prezydent Wójcicki miota się, cofa koncesje

eprasa.pl 36b301ba96

Nirwana z urzędu

Kurs profesjonalnego znikania

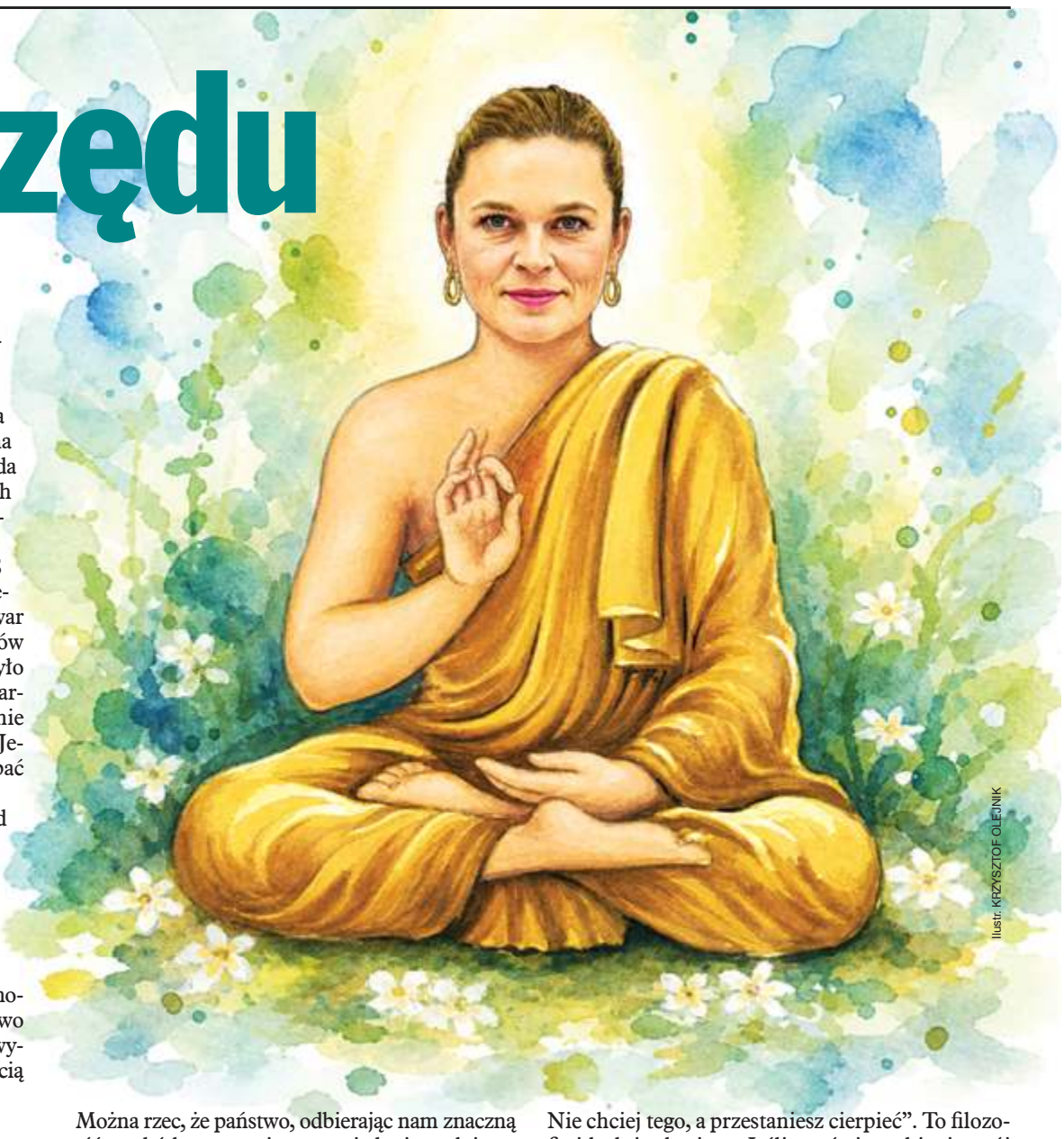

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jeśli chcesz wiedzieć, jaka będzie przyszłość, wyobraź sobie but depczący ludzką twarz, wiecznie! – George Orwell, „Rok 1984”

Na bieżąco śledzę życie społeczne w Polsce, co niektórzy Czytelnicy nawet chwalą, czytając „Wieści gminne i inne” i zauważając, że to jednak ja. To miłe. Ta cotygodniowa kwerenda utwierdza mnie w coraz dziwniejszym przekonaniu, że dzieje się u nas coś na skalę pospolitą.

Początkowo trudno było mi to uchwycić i zdefiniować. Lansowałem nawet tezę, że w Polsce buduje się państwo opresji. Obserwuje się bowiem proces metodycznego skracania smyczy, na której trzyma się to, co niegdyś nazywano obywatelem. Granica wolności nie tyle się przesuwa, co kurczy. Wczoraj mogłeś, dziś musisz, jutro poprosisz o łaskę, a pojutrze zapłacisz grzywnę za samą chęć.

Powiedzmy: samochód. Niegdyś symbol ucieczki w siną dal, dziś stał się mobilną celą. Każdy obrót wału korbowego i każdy gram wyziewu z rury wydechowej jest raportowany do jakiejś centrali z gorliwością, której pozazdrościłby niejeden ubecki konfident. Ongiś stało się w kolejkach po mięso, bo go nie było; dziś będziemy skomleć o pozwolenie na wjazd do własnego miasta, bo nasze stare Diesle śmierdzą postępowej mniejszości bardziej niż kiedyś zgniły kapitalizm.

Ale to tylko wierzchołek tej góry lodowej zakazów. Państwo w swej trosce o nasze zbawienie doczesne wchodzi nam do szkół, by zabierać dzieciom telefony. Zagląda do gardeł, wprowadzając nocną prohibicję, jakby dorosły Polak po zmroku zamieniał się w bezmyślne bydlę, nad którym czuwać musi strażnik miejski. Wkroczyło do salonów, by wygaszać nam kominki. Każe się nam grzebać w śmieciach z precyzją chirurga i instruuje, jak mamy ocieplać własne ściany, by planeta nie dostała gorączki. Władza uznała nas za bandę niedorozwiniętych gówniarzy, którym trzeba odebrać zapałki, żebyśmy sobie nie przypalili grzywek. Odejmują nam prawo do dymka, prawo do krwistego kotleta, a w końcu prawo do bycia dorosłym.

Eutanazja buntu

Z drugiej strony mamy inną, równie osobliwą tendencję. Rośnie brutalność państwa. Tu policjant kogoś zastrzeli, bo nie zatrzymał się do kontroli, tam funkcjonariusze kogoś pobiją, gdzie indziej zatrzymany umrze. Każdy przypadek jest oczywiście inny, każdy zostanie zbadany. Prokuratura wszczyna postępowanie, komendant zapewnia, że policja wyciągnie wnioski, a za tydzień mamy następny przypadek.

Dalej. Były minister sprawiedliwości tego państwa, który przez lata nadzorował prokuraturę i współtworzył system wymiaru sprawiedliwości, ucieka do innego państwa, ponieważ twierdzi, że we własnym nie może liczyć na sprawiedliwy proces. Trudno o bardziej złośliwą recenzję własnego dzieła. To trochę tak, jakby konstruktor windy po jej uruchomieniu zamieszkał na parterze.

Dalej. Lekarzom coraz rzadziej zarzuca się przyjmowanie kopert, bo koperta stała się anachronizmem. Dzisiaj poważne pieniądze zarabia się legalnie: kontraktami, dyżurami i odpowiednim ułożeniem systemu, w którym wynagrodzenia potrafią osiągać kwoty niedawno kojarzone raczej z zarządami wielkich spółek niż publiczną ochroną zdrowia. W publicznych szpitalach pojawiają się specjalne ścieżki i warunki dla VIP-ów, podczas gdy zwykły obywatel poznaje medycynę głównie poprzez terminy wizyt przypadające w następnej epoce geologicznej.

ZUS ściga chorych, kontroluje zwolnienia i potrafi kwestionować świadczenia kobietom na zasiłkach macierzyńskich. Skarbówka nakłada drakońskie mandaty za przewinienia, których społeczna szkodliwość bywa trudniejsza do odnalezienia niż sama podstawa prawna. Jak choćby za nieszczęsne krewetki, które – zdaniem US w Sopocie – awansują pizzę ze zwykłego gotowego posiłku, objętego stawką 8 proc. VAT, na towar luksusowy z VAT 23 proc. Po tym resort finansów z urzędową powagą oznajmia, że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. To zresztą jest najbardziej niepokojące, bo gdyby odbyło się niezgodnie z przepisami, wystarczyłoby ukarać urzędnika. Jeżeli odbyło się zgodnie z nimi, należy zacząć bać się przepisów. I co? No właśnie. I nic.

Sytuacja w gruncie rzeczy niewiele różni się od tej z 1980 r., kiedy po podwyżkach cen żywności wybuchły strajki, z których narodziła się Solidarność. Dzisiaj wszystko drożeje niemal w sposób ciągły, ale nie ma buntu. Nie ma demonstracji. Nie lecą kamienie. Nie powstaje nawet szczególnie chwytliwa piosenka protestu.

Rewolucja, ku mojemu zdziwieniu, nie nadchodzi. Zatem jest pytanie: dlaczego społeczeństwo stało się nagle takie tolerancyjne? Skłonne do wybaczania występków, za które ongiś karano śmiercią lub długoletnim więzieniem?

Wolność na minusie

Tu dotykam nerwu tej pozornej apatii – oto nastąpiła wielka mutacja zbiorowej świadomości. Przez dwa stulecia postęp był jak nienasycony tasiemiec: więcej produkcji, więcej konsumpcji, więcej gratów w garażu. Ludzie tyrali na dobrobyt, wierząc, że góra przedmiotów i wolność słowa dadzą im szczęście, a dostali jedynie zadyszkę i nerwicę. W Polsce roku 2026 wektor nagle się odwrócił. Z przejedzenia, z nudy, a może z resztek instynktu samozachowawczego zaczynamy odkrywać luksus odmowy.

Prawdziwym panem życia nie jest już ten, kto posiada najwięcej, ale ten, kto może sobie pozwolić na to, by nie korzystać. Nie pić – co dla mnie brzmi jak ponura asceza, ale dla nowych pokoleń jest formą arystokratycznego dystansu. Nie pracować w piątek, bo po co. Nie odbierać telefonu,

nie mieć konta na Facebooku, nie odpowiadać natychmiast na każde pierdnięcie świata. Nie kupować, nie wiedzieć, nie oburzać się na każdą podłość serwowaną w wiadomościach. To jest kapitalna zmiana mentalna: wolność od nadmiaru.

Można rzec, że państwo, odbierając nam znaczną część swobód, w gruncie rzeczy jedynie nadąża za masochistycznym popędem suwerena. Moje staroświeckie oburzenie wyrosłe z czasów, gdy wolność osobista była wartością niemal biologiczną, okazuje się dziś równie nieaktualne jak maszyna do pisania w erze TikToka. Współczesny Polak nie chce już wolności „do” – on łaknie wolności „od”.

Nie pożądaj Passata bliźniego swego

I tu zauważyłem kolejną osobliwość. Kiedy Barbara Nowacka podpisała porozumienie otwierające drogę do prowadzenia w polskich szkołach lekcji religii buddyjskiej, wiadomość ta spotkała się ze sporym aplauzem. Zaciekawiony tym lewicującym buddyzmem wgryzłem się w temat i muszę przyznać: pomysł Nowackiej jest doprawdy genialny. To majstersztyk socjotechniczny, duchowa lewatywa zaaplikowana narodowi, który dotychczas znał tylko ciężkostrawną dietę z opłatka i winy.

Buddyzm to religia bez boga, bez personelu naziemnego w sutannach i – co najważniejsze – religia bez religii. To idealny produkt dla współczesnego Polaka, który jest już zbyt leniwy na ateizm, ale zbyt inteligentny na bajki o gadającym wężu.

Po pierwsze, nie ma tam żadnego Najwyższego Kierownika, który gapi się wam do łóżka i liczy, ile razy zgrzeszyliście myślą lub czynem. Nie ma kogo błagać o cud, więc nie ma też rozczarowań, gdy cud nie nadchodzi. Jesteś tylko ty i twoja pustka – a to w dzisiejszych czasach całkiem spory majątek.

Po drugie, istotą tego interesu jest walka z pożądaniem. Buddyzm uczy, że cierpienie bierze się z tego, że człowiek ciągle czegoś chce: nowego Passata, większego schabowego albo żeby sąsiadowi zdechła krowa. Zatem buddyzm spotyka się z rządem w czułym uścisku. Skoro państwo w ramach „epoki odejmowania” i tak zabiera ci samochód, kotleta i prawo do dymka, to buddyzm przychodzi z odsieczą i mówi: „I bardzo dobrze! Nie chciej tego, a przestaniesz cierpieć”. To filozofia idealnie skrojona. Jeśli wmówisz sobie, że twój stary Diesel to tylko iluzja, to strefa czystego transportu przestaje cię boleć.

Po trzecie, cel ostateczny to nirwana, czyli stan, w którym cię nie ma. To jest przecież marzenie każdego ministra finansów i prezesa ZUS: obywatel, który osiągnął stan całkowitego niebytu, nie generuje kosztów, nie pyszczy i nie domaga się podwyżek.

Spokój za wszelką cenę

Nowacka zatem wprowadza do szkół kurs profesjonalnego znikania. Polak to kupi, bo wreszcie nikt go nie straszy piekłem, tylko obiecuje mu święty spokój. A święty spokój to jedyna rzecz, jakiej ta władza jeszcze nam nie opodatkowała. Pewnie tylko dlatego, że nie wie, jak go zmierzyć.

Co więcej – i co najistotniejsze – zdaniem mnichów w szafranowych prześcieradłach to właśnie spokój okazuje się największym szczęściem człowieka. Komornik puka do drzwi, żona cię zdradza, rozrusznik serca nawala, wyrzucili cię z pracy, a ty pozostajesz niewzruszony. Nie dlatego, że jest dobrze, tylko dlatego, że dzięki samodyscyplinie umysłu nauczyłeś się nie przejmować tym, że jest źle. Podobno można przy tym dojść do stanu, w którym do życia wystarcza dziewięć przedmiotów. Nic więcej do szczęścia – rozumianego jako brak nieszczęścia z powodu braku rzeczy – nie jest potrzebne.

Państwo marzy o takim obywatelu. Nagim, uśmiechniętym i przekonanym, że miska na jałmużnę jest szczytem luksusu. Takiego nie trzeba pacyfikować. On spacyfikował się sam.

Skoro więc i tak idziemy na dno, zróbmy to przynajmniej w pozycji lotosu. Grabarze będą mieli mniej roboty przy układaniu zwłok.

ROBERT JARUGA

i płacze nad „bezsilnością”, zamiast pojąć, że każda prohibicja to tylko zaproszenie do tańca dla kombinatorów. Prawdziwym skandalem, panie Wójcicki, nie jest to, że ktoś omija prawo, ale to, że dorosły Polak o drugiej w nocy traktowany jest przez samorząd jak ubezwłasnowolniony gówniarz, któremu trzeba reglamentować piwo. Piję za zdrowie właściciela, bo jako jedyny rozumie potrzeby rynku.

▮ To nieprawda, że Zakopane odmówiło transkrypcji małżeństwa dwóch panów zawartego za granicą. Tamtejszy urząd stanu cywilnego po prostu nie miał jeszcze okazji, by wykazać się góralską cnotą i świętym oburzeniem, bo żaden gej nie zdążył tam dotychczas złożyć papierów. Za to w Krakowie, pod samym nosem biskupów, wpłynęło już 25 takich wniosków. Urzędnicy deklarują stosowanie nowych przepisów, które od 23 sierpnia pozwalają na urzędowe uznanie tego, co dla prawicy jest końcem świata, a dla normalnych ludzi – zwykłą formalnością.

▮ Ministerstwo Kultury za blisko pół miliona złotych funduje Janowi Kochanowskiemu w Czarnolesie pognieciony płot z kawałami betonu. Dzieło Moniki Sosnowskiej (to jest rzeźba) wygląda jak pobojowisko po wizycie pijanego traktorzysty. Mistrz Jan pisał „Na lipę”, a teraz może sobie popatrzeć na pogięty drut i fundamenty na wierzchu. To piękny symbol: za ciężkie pieniądze podatnika stawia się w historycznym parku coś, co na każdym innym podwórku uznano by za gruz do wywiezienia. Kochanowski w grobie nie tylko się przewraca, on próbuje się z niego wydostać, żeby tym drogim złomem pogonić kustoszy i ministra.

▮ Według Business Insider Polska Szczecin wygrywa ranking jakości życia, co dowodzi, że w Polsce najlepiej żyje się tam, skąd najszybciej można uciec do Niemiec. Łódź jest na trzecim miejscu. Warszawa na dziesiątej pozycji. Moim zdaniem każda wieś wygrywa z tymi betonowymi skansenami. Rankingi są dla naiwnych, a wieś dla tych, którzy wiedzą, że święty spokój nie ma adresu w bloku.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

▮ Król Puszczy Boreckiej postanowił osobiście zweryfikować unijną politykę otwartych granic i zaatakował ciężarną Francuzkę. Dwa ciosy łbem w nogę to nowa forma podlaskiej gościnności dla turystów z Zachodu. Kobieta poleciała śmigłowcem do Giżycka, a żubr wrócił do gęstwiny, korzystając z faktu, że jako symbol narodowy pod ochroną może bezkarnie obijać, kogo mu się żywnie podoba. Natura jest piękna, dopóki ogląda się ją w telewizji, a nie dostaje od niej w kość.

▮ Krwawa jatka w cieniu Kampinosu. W lutym 2026 r. pewien pies, znudzony dietą z puszki, postanowił przypomnieć sarnie, na czym polega łańcuch pokarmowy. W efekcie sarna trafiła do nieba, pies zadowolony, a właścicielka przed sądem. Temida, w swojej niezmiennej ślepocie, orzekła, że pies jest niewinny, bo polskie prawo nie przewiduje celi dla czworonogów. Skazano kobietę, bo nie upilnowała instynktu. Mamy więc sytuację prawnie doskonałą: drapieżnik ma immunitet, ofiara ma spokój wieczny, a państwo ma wpływy z grzywny. Natura 1, cywilizacja 0, a sprawiedliwość – jak zwykle – w lesie.

▮ W Krośnie Odrzańskim doszło do spotkania towarzyskiego na szczycie, w którym uczestniczyli dwaj panowie, amstaff oraz morze wódki zgromadzonej w piwnicy. Najwyraźniej pies, jako jedyny posiadający resztki instynktu samozachowawczego, nie zdzierżył pijackiej dialektyki i postanowił uciszyć 57-letniego dyskutanta, przegryzając mu gardło. Człowiek zmarł. Prokuratura, zamiast pogratulować psu skuteczności w ucinaniu jałowych sporów, dobiera się do skóry właścicielowi psa i drugiemu moczymordzie.

▮ Adam Michnik, świecki papież z Czerskiej, przeżył właśnie upokorzenie, jakiego nie zafundował mu nawet Kiszczak. Dwukrotnie pisał do zarządu Agory w obronie zwalnianych podwładnych i dwukrotnie został potraktowany jak natrętny petent – milczeniem. Gdy w końcu wtargnął na zebranie pracowników z zarządem, Aleksandra Sobczak – jego dawna zastępczyni, którą sam wyhodował na własnej piersi – oświadczyła z rozbrajającą bezczelnością, że „przeoczyła” jego listy. Adam wyszedł, trzaskając drzwiami, co w jego wieku jest gestem równie dramatycznym, co bezsilnym. Michnik przed laty zrezygnował z akcji Agora SA wartych 34 mln dol., bo chciał być czystym duchem, moralnym patronem, a nie brutalnym właścicielem. Teraz odkrył bolesną prawdę: głos „sumienia narodu” waży dokładnie zero, jeśli nie stoi za nim pakiet kontrolny.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy regionalnej, gdzie prawda obiektywna występuje lokalnie i nie wszędzie w tym samym natężeniu. Zalecamy ostrożność w wyciąganiu wniosków. Zwłaszcza prawidłowych.

eprasa.pl 36b301ba96

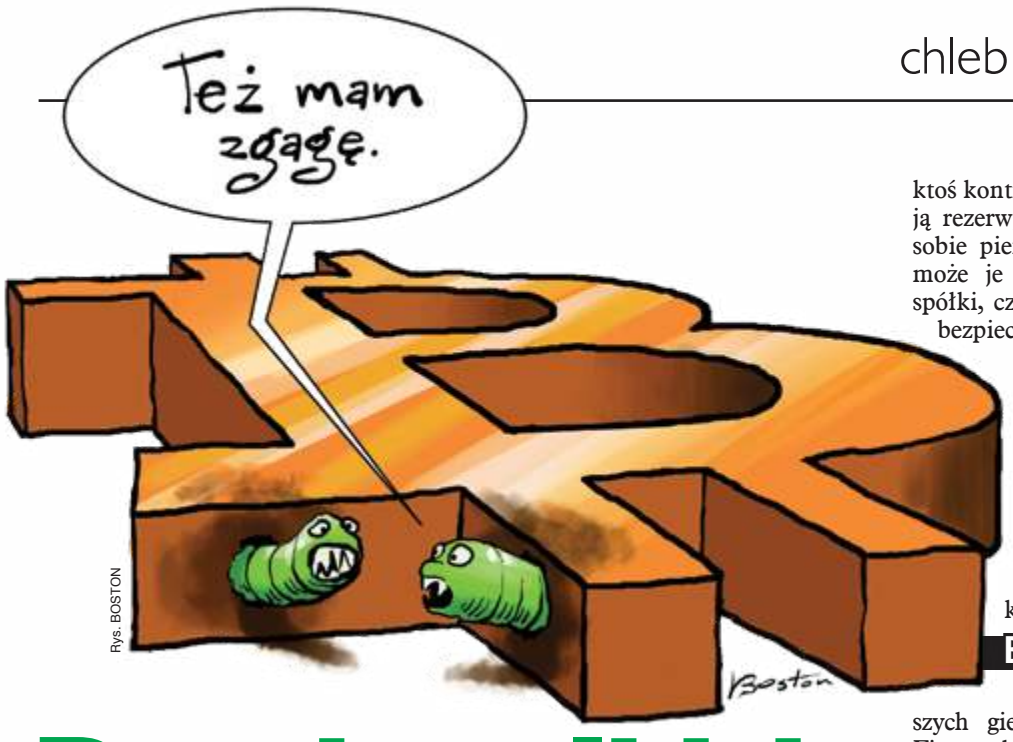

Rys. BOSTON

Ponzi na Ibizie

ZondaCrypto to logiczna konsekwencja nieuregulowanego systemu

W Polsce mamy aferę giełdy kryptowalut Zondacrypto. Obserwując panikę i tłumaczenia polityków, łatwo zapomnieć, że mnóstwo ludzi straciło prawdziwe pieniądze. Prokuratura informowała w czerwcu, że zgłosiło się ponad 3 tys. pokrzywdzonych, a wcześniej szacowała wartość szkód na 350 mln zł. To z tych pieniędzy pewnie ktoś dostał zegarek, zjadł wołowinę na Ibizie i przyjął kasę na reklamy oszustwa.

Kiedy spojrzymy na historię kryptowalut i giełd szerzej, Zondacrypto wygląda jak logiczna konsekwencja systemu. Bo przebieg światowych afer w świecie krypto pokazuje, że gdy ogromne pieniądze spotykają się z małą kontrolą, finał jest przewidywalny.

Bitcoin to nie Zonda

Z kryptowalutami jest jeden problem. Gdy media szukają eksperta, który ma wytłumaczyć, o co chodzi w krypto, zapraszany jest zwykle ktoś, kto zawodowo zajmuje się sprzedażą kryptowalut. Dlatego eksperci to prawie zawsze entuzjaści, którzy próbują jednocześnie opowiedzieć widzom, czym jest kryptowaluta, i im ją sprzedać. Jakby do dyskusji o systemie politycznym Turcji zaprosić właściciela firmy Stambul Travel. I nagle bitcoin, blockchain, token, giełda, cyfrowy portfel i facet na YouTubie stojący obok wypożyczonego Lamborghini zaczynają wyglądać jak elementy jednej technologii. Nie są.

Kryptowaluta – taka jak na przykład Bitcoin – jest zdecentralizowanym systemem pozwalającym posiadać i przesyłać cyfrowe aktywa bez banku prowadzącego księgę rachunkową. Zapis własności i transakcji jest kryptograficznie zabezpieczony, a baza danych zwana blockchainem znajduje się w rozproszonej sieci, więc trudno ją sfałszować. Zasady emisji kryptowaluty zostały określone z góry i nie można ich zmienić. Wartość nie jest chroniona przez instytucję państwową czy zabezpieczona jakimś realnym dobrem – jak złoto; opiera się na zaufaniu użytkowników do stojącego za nią kodu i zabezpieczeń. Za bitcoinem nie stoi żadna korporacja, jest dziełem anonimowego informatyka lub grupy informatyków.

Giełda kryptowalut jest natomiast zwykłą firmą, która umożliwia ludziom kupowanie, sprzedawanie i przechowywanie kryptowalut oraz wymienianie ich na euro, dolary czy złotówki.

Bitcoin i inne kryptowaluty mogą działać bez giełdy. Ale przeciętny człowiek, który chce kupić bitcoina, a potem sprawdzać w telefonie, czy jest już cyfrowym Warrenem Buffettem, najczęściej korzysta właśnie z giełdy, czyli pośrednika.

Przez lata przedstawiciele branży krypto opowiadali politykom o „innowacyjności", „konkurencyjności gospodarki" i „konieczności tworzenia przyjaznego otoczenia" dla sektora, ale tak naprawdę mówili: „dajcie nam prowadzić firmę przechowującą cudze pieniądze bez zabezpieczeń i kontroli jak w tradycyjnym sektorze finansowym".

Dobrze zaprojektowana kryptowaluta nie potrzebuje ochrony przed regulatorem, ponieważ jej techniczne bezpieczeństwo zapewniają kryptografia, protokół i rozproszona sieć. Ale już giełda, której wysyłasz pieniądze i która wyświetla ci na ekranie informację, że masz 100 BTC, działa jak zwykły bank internetowy.

Kiedy więc twoją kryptowalutę przechowuje giełda, nie wystarczy zapytać, czy bezpieczny jest bitcoin. Trzeba zapytać, czy bezpieczna jest giełda.

Czy naprawdę posiada aktywa klientów, czy przechowuje je oddzielnie od własnych, kto ma dostęp do kluczy, czy ktoś kontroluje księgowość, czy istnieją rezerwy, czy firma może pożyczyć sobie pieniądze klientów, czy zarząd może je przelać do zaprzyjaźnionej spółki, czy system informatyczny jest bezpieczny?

Oraz co się stanie, kiedy któregoś ranka prezes nie pojawi się w pracy, bo umarł, uciekł albo właśnie odkrył, że jego marzeniem jest życie w kraju bez ekstradycji.

Nie są to pytania teoretyczne. Historia kryptowalut i giełd to historia właśnie takich przypadków.

Bez zasad

FTX było jedną z największych giełd kryptowalut na świecie. Firmę założył Sam Bankman-Fried, którego zafascynowane media kreowały na cudowne dziecko nowej finansowej gospodarki, miliardera w krótkich spodenkach. Powtarzano, że oto tradycyjny świat finansów zostaje zastąpiony przez pokolenie genialnych informatyków.

Potem okazało się, że pod spodenkami i bluzą z kapturem znajdował się jeden z najstarszych pomysłów w historii finansów: cudze pieniądze potraktować jak własne.

Bankman-Fried sprzeniewierzył miliardy dolarów należących do klientów FTX. Wykorzystywał pieniądze do własnych inwestycji, finansowania ryzykownych projektów innej spółki, Alameda Research, ale też własnych wydatków oraz darowizn dla polityków, którzy opóźniali wprowadzenie prawnych regulacji firm takich jak FTX.

Klientów długo zapewniano, że ich depozyty są bezpieczne i oddzielone od aktywów firmy, ale to były tylko słowa, za którymi nie stała żadna kontrola niezależnej instytucji.

Skończyło się bankructwem FTX, procesem i wyrokiem 25 lat więzienia. Bankman-Fried był na tyle uczciwy lub naiwny, że nie uciekł i dziś siedzi w więzieniu pod Los Angeles.

Twórcy OneCoin wykorzystali fakt, że miliony ludzi nie rozumieją, czym właściwie są kryptowaluta i blockchain.

Centralną postacią projektu była urodzona w Bułgarii, wykształcona w Niemczech Ruja Ignatova, występująca jako królowa krypto. Znakomicie wyglądała na scenie, mówiła językiem globalnych finansów i przedstawiała OneCoin jako przyszłego konkurenta bitcoina. Sprzedaż waluty napędzała gigantyczna struktura marketingu wielopoziomowego, w której najlepszym dowodem wiary w przyszłość projektu było wciągnięcie do niego rodziny, znajomych i sąsiada.

OneCoin szybko zebrał od ofiar ponad 4 mld dol. Według amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości był od początku fałszywą kryptowalutą sprzedawaną poprzez stary jak „chcesz coś z Avonu?" system MLM. Ignatova zniknęła wraz z pieniędzmi klientów w 2017 r. i nadal pozostaje poszukiwana. Jej wspólnik Karl Sebastian Greenwood nie miał tyle szczęścia i dostał 20 lat więzienia.

OneCoin było klasycznym oszustwem ubranym w nową technologię.

BitConnect było natomiast dowodem, że Charles Ponzi urodził się 100 lat za wcześnie, bo gdyby miał YouTube, token i miniaturkę z napisami „dochód pasywny!!!", jego nazwisko mogłoby dzisiaj firmować innowacyjny fintech.

Firma oferowała program inwestycyjny, którego cudowny, zasilany AI „Trading Bot" miał zarabiać na zmienności rynku i zapewniać inwestorom niezwykłe stopy zwrotu. Do tego dołożono potężny marketing w mediach społecznościowych, dzięki czemu BitConnect miał swoich influencerów nagrywających filmy o wolności finansowej, mimo że oni sami oraz ich mieszkania sugerowały, że wolność finansowa jeszcze do nich nie dotarła.

Według amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości był to podręcznikowy schemat Ponziego, w którym wcześniejszym inwestorom płacono pieniędzmi wpłacanymi przez późniejszych.

Prezes w grobie

Mt. Gox był przykładem chyba uczciwej giełdy kryptowalut, która upadła przez zwykłą niekompetencję. Powstała w Japonii jako platforma wymiany kart do gier, ale przeszła na handel bitcoinem. Przez kilka lat odpowiadała za ponad połowę światowego obrotu cyfrową walutą, była jednak źle zabezpieczona i hakerzy ukradli setki tysięcy bitcoinów, przyczyniając się do niewypłacalności giełdy, która ostatecznie zakończyła działalność w 2014 r.

Nikt nie złamał zabezpieczeń bitcoina. Złamano zabezpieczenia giełdy.

Jeżeli trzymasz kryptowalutę samodzielnie, bezpieczeństwo twojego majątku zależy przede wszystkim od kryptografii i od ciebie. Jeżeli oddajesz kryptowalutę giełdzie, bezpieczeństwo twoich oszczędności zależy również od tego, czy informatyk dobrze skonfigurował serwer.

Najbardziej filmowa jest historia kanadyjskiej giełdy QuadrigaCX, która pod pewnymi względami przypomina Zondę, ponieważ również był w niej prezes znikający wraz z kluczem do cyfrowego sejfu.

Gerald Cotten, założyciel QuadrigaCX, długo uchodził za człowieka sukcesu, a jego giełda prężnie się rozwijała. W 2018 r. prezes poleciał do Indii i umarł. Spółka przekazała przerażonym klientom, że zmarły właśnie w Azji prezes był jedynym człowiekiem posiadającym hasła do portfeli zawierających ich kryptowaluty.

Późniejsze śledztwo kanadyjskich służb wykazało, że Cotten prowadził fikcyjne konta na własnej giełdzie, handlował przeciwko klientom, wykorzystywał aktywa klientów do własnych operacji i pokrywania powstałych dziur, a część pieniędzy przeznaczał na prywatne wydatki. W pewnym momencie przetransferował około 24 mln dol. kanadyjskich sobie i partnerce.

Nie był to więc przypadek informatyka, który umarł, nie zostawiając hasła. Śmierć w Indiach była logicznym finałem historii zwykłego bankiera oszusta, który nagle zorientował się, że stracił za dużo.

Nie regulujmy, bo innowacje

W największych aferach kryptowalut na świecie problemem nie były kryptowaluta i mechanizmy jej bezpieczeństwa. Blockchain działał, jak powinien. Zawodzili ludzie, giełdy, pośrednicy oraz genialni prezesi.

Ideologicznym punktem wyjścia kryptowalut było hasło „nie ufaj bankom i pośrednikom". Następnie miliony odpowiedziały: „świetny pomysł" i przekazały swoje pieniądze nowym pośrednikom, działającym bez nadzoru, bez bankowych gwarancji depozytów i bez całej wielowarstwowej infrastruktury kontrolnej, która w tradycyjnych finansach powstała właśnie dlatego, że od tysięcy lat ludzie kradli cudze pieniądze.

Banki nie są regulowane dlatego, że państwo nienawidzi innowacji. Są regulowane, bo historia finansów to zapis przypadków pokazujących, co się dzieje, kiedy człowiekowi powierza się kilka miliardów cudzych pieniędzy i mówi: „wierzymy ci, stary".

Dlatego

kiedy polityk zaczyna tłumaczyć, że z regulowaniem branży kryptowalut trzeba uważać, ponieważ „innowacje", „nowe technologie", „konkurencyjność", „polskie firmy" i „miejsca pracy dla informatyków", to albo jest głupi, albo zjadł właśnie antrykot wołowy na Ibizie na koszt klientów Zondy.

Unia Europejska nie chce kontrolować protokołu bitcoina. To rzeczywiście technologicznie i prawnie skomplikowane. Chce kontrolować pośredników takich jak Zonda.

Większość ludzi nie chce korzystać z bitcoina zgodnie z ideą jego twórcy. Nie chcą pilnować klucza prywatnego, chcą odzyskiwania hasła, aplikacji na telefon, prostego interfejsu, spekulowania na kursie, ustawiania zleceń, oglądania zielonych wykresów. I marzeń, że zakup tysięcznej części BTC jest pierwszym etapem drogi prowadzącej do apartamentu w Dubaju. Chcą pośrednika.

Historie FTX, OneCoin, BitConnect, Mt. Gox i QuadrigaCX pokazały różne odmiany tego samego problemu: technologia może być nowa, ale chciwość, oszustwo i niekompetencja są stare.

Jeżeli więc ktoś mówi, że kontrolowanie giełd kryptowalut zabije innowacje, to powinniśmy tylko przyklasnąć. Giełda ZondaCrypto pewnie by padła po kontroli państwa i właśnie dlatego należało kontrolę zrobić. I ostrzec ludzi przed oszustwem.

LEON ORŁOWSKI

Życie w dobrobycie

● Żeby wiedzieć, czy żyje się w dobrobycie, można sprawdzać PKB, średnie wynagrodzenie, inflację, zawartość portfela po wyjściu z Biedronki albo wysokość raty kredytu. Ale można też policzyć Bentleye. I wyjdzie, że dobrobyt mamy taki, iż tylko patrzeć, jak Niemcy zaczną przyjeżdżać do nas na saksy. Warszawski salon Bentleya znalazł się bowiem w pierwszej piątce dealerów tej marki w Europie. Ba, sprzedaje więcej tych samochodów niż Paryż, Wiedeń, a nawet Monako. Londynu niestety pobić nie możemy, bo Brytyjczycy sprytnie wyjęli swój kraj z europejskiej klasyfikacji i liczą go osobno jako macierzysty rynek marki. Typowym klientem firmy Bentley Warszawa jest polski przedsiębiorca. Przybywa kobiet oraz klientów młodszych niż kiedyś, a to dlatego, że wedle raportów KPMG grupa ludzi bogatych systematycznie w Polsce rośnie. Według badania New World Wealth w latach 2014–2024 liczba milionerów w Warszawie wzrosła o ponad 80 proc. Tyle że człowiek chodzący po ulicy jakoś nie widzi, żeby w ciągu 10 lat przybyło mu 80 proc. majątku. Emeryt raczej nie zastanawia się rano, czy kupić Bentleya czerwonego, czy może jednak niebieskiego. A dziesięć lat temu polski Bentley startował z poziomu ledwie kilku sprzedawanych samochodów. Teraz w całym kraju idzie około 100 nowych sztuk rocznie. Mniej więcej 70 przypada na Warszawę, a 30 na Katowice. Setka aut może wydać się liczbą śmieszną, ale Bentley produkuje na cały świat jedynie około 10–12 tys. samochodów rocznie. Z tych danych wynika też coś trochę innego. Pokazują, że gwałtownie przybyło ludzi na samym szczycie majątkowej drabiny. To zaś dowodzi, że strasznie się jako społeczeństwo rozwarstwiamy. To już nie jest świat milionerów z lat 90., ale ich dzieci i wnuków. Ci nie inwestują w kolejne rezydencje czy śmigłowce, ale idą w horrendalnie drogie gadżety. Tylko dlatego, że całą resztę już mają. Bentley udowadnia, że rynek luksusowy świetnie ma się w kraju, w którym przeciętny człowiek wcale nie czuje się luksusowo. Ba, może rosnąć właśnie dlatego, że coraz większa część pieniędzy znajduje się w rękach grupy, dla której cena samochodu przestała mieć takie znaczenie, jakie ma dla reszty społeczeństwa cena mieszkania. Dobrobyt więc rzeczywiście nam urósł. Tylko jakoś nierówno.

● „Czas na odbudowę narodowej gospodarki" – mówił Tusk. Później do rządowego słownika weszło jeszcze jedno modne określenie – *local content*. Teraz zaś pojawił się krakowski Metalodlew. Spółka ta istnieje od 1994 r., choć sama przypomina, że jej tradycje odlewnicze sięgają jeszcze 1949 r. Zakład wykonuje kompletne zestawy mielące do młynów węglowych wykorzystywanych przez krajową energetykę. 1 sierpnia zakład przestał istnieć. Nie dlatego, że zabrakło klientów, pracowników czy inwestora. W liście do Tuska parę tygodni wcześniej pracownicy pisali, by pomógł, bo przecież rząd przekonuje, iż właśnie odbudowuje potencjał krajowej gospodarki. Firma padła, bo zabrakło porozumienia z ArcelorMittal Poland, który jest właścicielem majątku niezbędnego do prowadzenia produkcji. Zdaniem autorów listu jednym z pierwszych dużych postępowań prowadzonych zgodnie z głoszonymi przez rząd zasadami miały być zamówienia Orlen Termiki. Piszący przekonywali również, że istnieje krajowy inwestor zainteresowany ratowaniem przedsiębiorstwa. Nie ujawnili jego nazwy ani szczegółów rozmów, ale twierdzili, że rozwiązanie jest realne. Według ArcelorMittal Poland Metalodlew utraci prawo do korzystania z obiektów, ponieważ wygasa umowa dzierżawy. Decyzja nie zapadła nagle, bo zastosowano 12-miesięczny okres wypowiedzenia. Poza tym zadłużenie Metalodlewu narastało przez trzy lata i obejmowało zarówno czynsz dzierżawny, jak i opłaty za media. Odbyło się wiele spotkań i prób mediacji, które nie doprowadziły do rozwiązania problemu. Upadek Metalodlewu nie rozstrzyga, kto ma rację w sporze z ArcelorMittal. Pokazuje jednak, że między politycznymi deklaracjami a rzeczywistością wciąż istnieje ogromna luka, której zachłyśnięci własną propagandą rządzący widzieć nie chcą.

● Prąd ze słońca i wiatru miał być tani, zielony i zbawić nasze portfele. Doszliśmy jednak do momentu, w którym zielonego prądu bywa za dużo. Wtedy Polskie Sieci Elektroenergetyczne każą producentom ograniczać wytwarzanie energii. A ponieważ producent mógł prąd wyprodukować, ale kazano mu tego nie robić, dostaje rekompensatę. Koszt ten trafia ostatecznie do odbiorców energii, czyli do nas.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wymyśliliśmy więc system, w którym obywatel płaci za to, żeby elektrownia nie produkowała prądu. Rekompensaty dla producentów energii odnawialnej za ograniczanie dostaw przekroczyły 100 mln zł. Tylko do lipca rachunek PSE z tego tytułu wyniósł 57,9 mln zł, ponad dwa razy więcej niż w całym poprzednim roku. Żeby zrozumieć ten cud ekonomiczno-energetyczny, trzeba wiedzieć, że prądu nie wystarczy wyprodukować. Ktoś musi go jeszcze w tym samym czasie potrzebować. Jeżeli odbiorcy potrzebują mniej energii, niż elektrownie chcą w danej chwili dostarczyć, operator ogranicza im produkcję. Nadprodukcja

eprasa.pl 36b301ba96

Łapówka systemowa

Dlaczego szemrane interesy Trumpa powinny obchodzić nas wszystkich

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Donald Trump od początku drugiej kadencji produkuje tyle politycznych eksplozji, że świat ogląda głównie największe: Gazę, Ukrainę, NATO, Iran, Grenlandię, cła i groźby wobec sojuszników. Znacznie mniej uwagi poświęcamy temu, co jego administracja robi we własnym państwie. A właśnie tam odbywa się spektakularna hucpa, której skutki mogą być dla świata równie ważne jak kolejna wojna.

Chodzi o korupcję. Nie tę tradycyjną, z kopertą wsuwaną pod biurkiem. Wielką korupcję XXI w. legalizuje się dekretem, „reorganizacją urzędu" albo zwolnieniem osoby, która za dużo kontroluje. Zamiast łamać reguły można tak przebudować państwo, żeby reguły przestały przeszkadzać. Łapówkarza można złapać i osądzić, o ile prawo jeszcze działa. Państwo urządzone pod interes swoich właścicieli samo sobie wystawia zaświadczenie o niewinności.

Ustawa, która przeszkadza w robieniu interesów

W lutym 2025 r. Trump uderzył w Foreign Corrupt Practices Act (FCPA), amerykańską ustawę z 1977 r., zakazującą amerykańskim firmom i osobom przekupywania zagranicznych urzędników w celu zdobywania lub utrzymywania interesów. Ustawa powstała po aferach lat 70., gdy nadzór giełdowy odkrył, że setki firm utrzymywały tajne fundusze i płaciły za granicą setki milionów dolarów łapówek. Waszyngton uznał wtedy rzecz dziś dla trumpowskiej ekipy egzotyczną: kontrakt zdobyty walizką pieniędzy dla ministra nie jest sukcesem przedsiębiorczości.

Trump sprytnie ustawy nie skasował. Nakazał jednak Departamentowi Sprawiedliwości na 180 dni wstrzymać rozpoczynanie nowych spraw FCPA, przejrzeć prowadzone postępowania i przygotować nowe zasady. W czerwcu 2025 r. resort wydał węższe wytyczne, podporządkowane także „interesom USA" i konkurencyjności amerykańskich przedsiębiorstw. To ważne rozróżnienie: łapówki nie stały się legalne. Stało się coś politycznie pouczającego: państwo ogłosiło, że ściganie korupcji ma być uzależnione od tego, czy przypadkiem nie przeszkadza ona amerykańskiemu biznesowi!

Sam dekret Trumpa jest niezwykle szczery. Czytamy w nim, że zbyt szerokie egzekwowanie FCPA szkodzi amerykańskiej konkurencyjności w walce o minerały krytyczne, porty głębokowodne i wielką infrastrukturę. Sądzę, że prezydent USA miał z tyłu głowy myśl o zasobach Ukrainy, Grenlandii i Wenezueli. Przekładając z języka imperium na polski: jeżeli konkurent spoza USA daje pod stołem, a nasz przedsiębiorca nie może, to nasz przedsiębiorca ma gorzej. Zadbajmy więc o swoich.

Tę prokorupcyjną filozofię prof. Grzegorz Makowski z SGH streścił w tonie biblijnym: „Idźcie i przekupujcie, a będzie wam dane". Zwycięstwo w walce o kontrakt ma być ważniejsze niż rygor ograniczający metody jego zdobywania. I tu zaczyna się problem także dla Niemca, Francuza, Brazylijczyka, Chińczyka i Polaka. Jeśli wielka amerykańska korporacja może zakładać większą wyrozumiałość prokuratora, gdy w grę wchodzi „strategiczny interes USA", konkurenci dostają prostą wiadomość: albo gracie równie ostro, albo przegrywacie. Tak powstaje korupcyjny wyścig zbrojeń.

Nie wygrywa firma z najlepszą technologią i ceną. Wygrywa ta, która ma dojście do odpowiedniego polityka czy urzędnika. Płaci obywatel kraju, który dostaje droższą drogę, gorszą elektrownię, przepłacony port albo kopalnię wynegocjowaną tak, by zysk został za granicą, a szkody na miejscu. Korupcja nie jest „smarem gospodarki". Jest dodatkowym podatkiem, który społeczeństwo płaci za interesy elit politycznych i biznesowych.

Równanie dla bardzo bogatych

Badacz korupcji Robert Klitgaard zapisał kiedyś proste równanie: C=M+D–A: *Corruption = Monopoly + Discretion – Accountability*. Po polsku: korupcja równa się monopol plus uznaniowość minus rozliczalność – czyli możliwość skontrolowania człowieka i pociągnięcia go do odpowiedzialności za jego decyzje. Im więcej ktoś ma władzy nad decyzją, im swobodniej może nią obracać; im mniej ludzi patrzy mu na ręce, tym żyźniejsza gleba pod korupcję. Administracja Trumpa zachowuje się tak, jakby postanowiła sprawdzić ten wzór laboratoryjnie.

Najbardziej widowiskowym przypadkiem był Elon Musk. Miliarder został specjalnym pracownikiem administracji i twarzą inicjatywy Department of Government Efficiency (DOGE) – Departamentem Efektywności Rządowej. Miała ona radykalnie ograniczyć federalną biurokrację, wydatki i zatrudnienie oraz dokonać „restrukturyzacji" państwowych agencji. Musk firmował i współtworzył politykę ostrych cięć kadrowych i budżetowych, podczas gdy jego własne firmy żyły w rozległej symbiozie z państwem. SpaceX, Tesla i inne przedsiębiorstwa Muska w ciągu dekady zdobyły – donosił „Guardian" – co najmniej 18 mld dol. federalnych kontraktów.

Jednocześnie firmy Muska były badane, a czasem karane przez instytucje federalne. Wśród nich znajdowały się SEC – amerykański nadzór rynku kapitałowego; FAA – urząd bezpieczeństwa lotnictwa kontrolujący m.in. SpaceX; NLRB – federalna rada prawa pracy zajmująca się warunkami zatrudnienia w jego firmach; CFPB – urząd ochrony konsumentów finansowych, który zajmował się również sprawami dotyczącymi Tesli. I właśnie część takich instytucji znalazła się pod presją cięć finansowych administracji Trumpa i DOGE.

Nie trzeba nawet udowadniać osobistej „zemsty Muska", żeby zobaczyć problem. Człowiek posiadający firmy regulowane przez państwo uzyskał ogromny wpływ na instytucje kontrolujące jego biznes. To nie jest koperta pod stołem. To jest prywatyzacja stołu.

Trump nie poprzestał na oddaniu Muskowi ogromnego wpływu na przebudowę federalnej administracji. Wyrzucił także szefa Office of Government Ethics – Federalnego Biura Etyki Rządowej – i kilkunastu inspektorów generalnych, czyli niezależnych kontrolerów tropiących nadużycia, marnotrawstwo i konflikty interesów w agencjach federalnych. O ironio! Na krytykę konfliktów interesów Muska odpowiadano m.in. zapewnieniem, że sam wyłączy się z decyzji, gdy taki konflikt zauważy. Czyli lis ma pilnować kurnika, ale obiecuje, że gdy poczuje apetyt, odwróci wzrok.

Musk odszedł z administracji w maju 2025 r. Pod koniec tego samego roku Reuters informował, że DOGE przestał funkcjonować jako scentralizowana struktura, choć Biały Dom temu zaprzeczał, a formalny mandat tymczasowej organizacji miał trwać do lipca 2026 r. Tak czy inaczej, po wykonaniu czarnej roboty Musk poszedł w odstawkę.

Prezydent pozywa własne państwo

Jeszcze bardziej groteskowy przykład przyniósł rok 2026. Trump, jego dwaj synowie i Trump Organization pozwali urząd skarbowy IRS oraz Departament Skarbu, żądając 10 mld dol. za wyciek poufnych danych podatkowych. Były konsultant IRS został za ten wyciek skazany. Prawo złamał – moim zdaniem w słusznej sprawie. Tyle że powstała konstrukcja ustrojowa godna Monty Pythona pisanego przez kancelarię podatkową.

Donald Trump jako prywatny człowiek pozwał instytucje władzy wykonawczej, której jako prezydent jest szefem. Jedna ręka państwa negocjowała więc z człowiekiem, który drugą kierował całym państwem. W maju zawarto ugodę, podpisaną po stronie państwa przez pełniącego obowiązki prokuratora generalnego Todda Blanche'a, wcześniej osobistego obrońcę Trumpa. Prezydent nie dostał 10 mld. Otrzymał formalne przeprosiny. Zgodzono się jednak zamknąć istniejące kontrole i roszczenia podatkowe wobec Trumpa, jego synów i powiązanych podmiotów. Nie skarżyli państwa za darmo.

Zwróćmy uwagę na mechanizm. Nie musisz ukraść miliarda z sejfu. Możesz stworzyć procedurę, w której podległy ci aparat państwowy zawiera z tobą ugodę korzystną dla twoich prywatnych interesów. Formalnie wszystko odbywa się przy pomocy prawników, dokumentów, podpisów i pieczątek. Faktycznie hucpa trwa i ma się znakomicie. Właśnie dlatego wielka korupcja jest trudniejsza do uchwycenia niż łapówka dla policjanta.

Biały Dom jako biznes

W maju 2025 r. Stany Zjednoczone przyjęły od Kataru luksusowego Boeinga 747-8, wartego według ówczesnych szacunków 400 mln dol., z zamiarem przebudowania go do roli Air Force One. W tym samym czasie biznes rodziny Trumpów rozwijał w Katarze projekt luksusowego pola golfowego i willi. Inwestycja była realizowana we współpracy z deweloperami, wśród których znajdowała się Qatari Diar – spółka należąca do katarskiego państwowego funduszu majątkowego. Nie twierdzę, że samolot był zapłatą za konkretną decyzję. Do zarzutu karnego potrzeba dowodów, nie felietonowego nosa. Twierdzę coś prostszego: w przyzwoicie urządzonym państwie prezydent unika sytuacji, w której zagraniczny rząd daje jego administracji prezent wart setki milionów dolarów, podczas gdy jego rodzinna marka robi interesy w tym kraju. Państwo demokratyczne ma nie tylko nie być sprzedajne. Ma jeszcze nie wyglądać jak źródło biznesu swoich elit.

Podobnie z kryptowalutą $TRUMP. Wiosną 2025 r. ogłoszono, że 220 największych posiadaczy $TRUMPa otrzyma zaproszenie na galową kolację z prezydentem, a 25 największych – dodatkowy dostęp VIP. Kupujący wydali około 148 mln dol., walcząc o miejsca przy stole. Formalnie kupowali cyfrowy token. Faktycznie rynek wyceniał możliwość znalezienia się blisko człowieka, który podpisuje ustawy, mianuje urzędników i ustala politykę państwa. Kapitalizm zawsze handlował dostępem. Trumpizm zrobił z tego produkt premium.

Nie idealizuję starego kapitalizmu. Ale przyznam, że kapitalista przemysłowy w stylu Forda budował fabryki, zatrudniał ludzi, produkował rzeczy i potrzebował masowego rynku. Z konfliktu pracy z kapitałem wyrastały związki zawodowe, regulacje i koncepcja państwa dobrobytu.

Dzisiejszy kapitalizm jest w coraz większym stopniu zfinansjeryzowany, platformowy i rentierski. Fortuny rosną na akcjach, długu, monopolach informacyjnych, prawach własności, platformach cyfrowych, kontraktach publicznych i kontroli infrastruktury. Największy biznes nie chce już tylko wpływać na państwo. Coraz częściej chce wejść do środka i ustanawiać prawa. To przekroczenie ważnej granicy.

W neoliberalnej demokracji bogacz może lobbować, finansować kampanię, zatrudniać armię prawników i kupować media – co już daje mu absurdalną przewagę nad każdym z nas. W systemie oligarchicznym dostaje jeszcze dostęp do dźwigni państwa, regulujących jego własne interesy. Wtedy prywatna władza otrzymuje publiczną pieczątkę. Można nazwać to neofeudalizmem, oligarchią albo dyktaturą biznesu. Nazwa jest mniej ważna od mechanizmu. Dzisiejszy oligarcha posiada kapitał, dane, media, kontrakty i dostęp do polityka – oraz wystarczająco dużo pieniędzy, żeby państwo potraktowało jego prywatny interes jak część „interesu narodowego". A demokracja przypomina teatralną dekorację.

Korupcja bez koperty

W Polsce słowo „korupcja" nadal wywołuje obraz urzędnika biorącego pięć koła za pozwolenie budowlane albo posła z zegarkiem za kilkaset tysięcy złotych. Tymczasem najgroźniejsza korupcja zaczyna się tam, gdzie prywatny interes zdobywa możliwość pisania reguł dla samego siebie. Dlatego osłabianie FCPA jest sprawą także polską. Dlatego konflikt interesów miliardera uzyskującego wpływ na aparat, który kontroluje jego firmy, jest sprawą także polską. Dlatego prezydent negocjujący za pośrednictwem własnej administracji warunki własnego sporu z państwem jest sprawą także polską.

Stany Zjednoczone wciąż są największym zachodnim centrum finansowym, technologicznym i politycznym. Jeśli tam standardem stanie się zasada, że interes państwa utożsamia się z interesem „naszych" korporacji i „naszych" miliarderów, reszta kapitalistycznego świata nie pozostanie czysta z samego umiłowania etyki. Konkurencja działa także w dół. Jeżeli jeden gracz może kupować sędziego, drugi zaczyna pytać księgowego, ile kosztuje sędzia.

I to jest najbardziej ponura część trumpowskiej rewolucji. Nie chodzi o to, że w Ameryce nagle pojawili się źli ludzie. Chciwi i sprzedajni byli zawsze. Cywilizacja polega m.in. na budowaniu instytucji, które utrudniają im zamianę chciwości w prawo państwowe. Trump robi odwrotnie. Osłabia strażników, podnosi rangę biznesowego interesu, miesza majątek prywatny z urzędem publicznym i uczy świat, że korupcja może głosić hasło narodowej wielkości, konkurencyjności i demokracji.

Koperta była przynajmniej wstydliwa. Teraz dostaje logo podobno demokratycznego i cywilizowanego państwa.

ANNA GRODZKA

---

energii z OZE jest oczywiście wynikiem pogody, ta ma bowiem paskudny zwyczaj nieczytania prognoz zapotrzebowania Krajowego Systemu Elektroenergetycznego. Kiedy mocno świeci słońce, panele fotowoltaiczne produkują prąd niezależnie od tego, czy akurat potrzebujemy dodatkowych wielkich ilości energii. Wiatr nie pyta operatora, czy może dziś powiać trochę mocniej. Jeżeli więc korzystne warunki pojawią się w czasie niewielkiego zapotrzebowania, powstaje nadwyżka. Można oczywiście spytać, dlaczego właściciel elektrowni ma dostawać pieniądze za prąd, którego ostatecznie nie wyprodukował. Z jego punktu widzenia odpowiedź jest prosta. Instalacja była gotowa do pracy, a ograniczenie nastąpiło na polecenie operatora. Producent traci więc przychód nie dlatego, że zepsuł mu się wiatrak albo chmura zasłoniła panele, lecz dlatego, że system nie potrzebował jego energii. Stąd mechanizm rekompensat. Najzabawniejsze jest to, że choć już dziś prądu z OZE mamy za dużo, to stawiamy kolejne farmy wiatrowe i fotowoltaiczne. Żeby jeszcze więcej dopłacać do taniego prądu?

● Abonament radiowo-telewizyjny jest opłatą wyjątkową dlatego, że można płacić go na publiczną telewizję, a potem zapłacić na publiczną telewizję jeszcze raz i nawet specjalnie tego nie zauważyć. Pierwszą wpłatę robi się świadomie, płacąc abonament RTV, drugą zaś przy okazji PIT, VAT, akcyzy i całej reszty danin trafiających do budżetu państwa. Z tego właśnie budżetu Telewizja Polska dostała ostatnio 250 mln zł. Oczywiście na „realizację misji publicznej". To już kolejna transza, bo po jej wypłacie suma dotacji przekazanych TVP od początku 2026 r. urosła do 1,15 mld zł. Telewizja Polska oraz pozostali nadawcy publiczni są finansowani bezpośrednio z budżetu państwa od 2024 r. Wcześniej istotną formą pomocy były rekompensaty za utracone wpływy z abonamentu radiowo-telewizyjnego. Czyli państwo miało abonament, którego spora część ludzi nie płaciła, więc publicznym mediom rekompensowało to, że ludzie go nie płacą. Od 2020 r. przybierało to formę obligacji skarbowych, później odsprzedawanych skarbowi państwa. Roczna wartość tego wsparcia wynosiła około 2–3 mld zł. Mechanizm zmienił się po tym, gdy pod koniec 2023 r. prezydent Andrzej Duda zawetował ustawę okołobudżetową przewidującą przekazanie kolejnych rekompensat mediom publicznym. Od 2024 r. zaczęto więc dotować nadawców wprost z budżetu. Ale abonament nie rozpłynął się razem ze starym sposobem finansowania i wciąż ludzie są straszeni karami za jego niepłacenie. W 2025 r. Telewizja Polska otrzymała z budżetu 1,655 mld zł. Rok wcześniej – 1,68 mld zł. Kwoty te nie uwzględniają kasy przekazywanej przez MSZ na stacje kierowane do odbiorców poza Polską. W 2025 r. przychody ze sprzedaży TVP wyniosły 3,73 mld zł i wzrosły w ciągu roku aż o 16 proc. Wpływy finansowe tej instytucji liczone są więc w miliardach z wielu stron jednocześnie, a mimo tego na rachunku w 2025 r. widniało minus 176 mln zł. Czyli człowiek płaci na telewizję abonament, podatki i nawet haracz schowany w cenach reklamowanych w telewizji produktów, a to i tak dla TVP za mało.

TTJ

eprasa.pl 36b301ba96

Mamy coraz więcej naszej ojczyzny!

Mocarstwowość rośnie w oczach

Polska urosła w ciągu roku o 433 hektary. To doskonała wiadomość dla każdego patrioty, który dotąd martwił się, że ojczyzna jest za mała. Powierzchnia Rzeczpospolitej wynosi 31 393 726 ha. Rok wcześniej miała ledwie 31 393 293 ha. Przybyło nam zatem ziemi odpowiadającej mniej więcej 600 boiskom piłkarskim. I to bez bombardowania sąsiadów, wysyłania chłopców na front, okupacji, nadzwyczajnego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ i bez konieczności tłumaczenia, że zajęcie cudzego pastwiska było wyłącznie operacją denazyfikacyjną.

Bez jednego wystrzału

Wprawdzie nie bardzo wiadomo, gdzie przeciętny Polak miałby te 433 ha obejrzeć, bo nie stoi na nich tablica „Teren odzyskany przez Rzeczpospolitą w 2025 r.", jednak Główny Urząd Statystyczny wie swoje i podaje, że wzrost wynika nie tylko ze zmian podziału terytorialnego dokonywanych przez Radę Ministrów, lecz również z prowadzenia rejestrów geodezyjnych. Czyli Polska rośnie głównie dlatego, że ktoś dokładniej ją policzył.

W ciągu ostatnich 35 lat Polska powiększała się, kurczyła, przeliczała, porządkowała i poprawiała na mapach wielokrotnie. Niektóre zmiany miały znaczenie międzynarodowe. Inne powodowały jedynie, że hektar znikał z jednego powiatu, po czym pojawiał się w drugim. Bywało również tak, że tego samego terytorium wcześniej nie było w statystyce, a potem nagle się znalazło, mimo że w naturze przez cały czas spokojnie leżało albo chlupotało.

Pierwszym uroczym przykładem bezwojennego budowania wielkiej Polski jest trójstyk w Jaworzynce. Gdy 1 stycznia 1993 r. Czechosłowacja rozpadła się na Republikę Czeską i Słowację, Polska nie przesunęła się ani o centymetr. Za to w miejscu, gdzie dotąd spotykały się dwie granice państwowe, pojawiły się trzy. I nagle okazało się, że w beskidzkim jarze zbiegają się terytoria Polski, Czech i Słowacji.

Matematyczny punkt trójstyku znajduje się w korycie potoku, w jarze mającym około 8 m. głębokości. A ponieważ ustawienie tam jednego porządnego słupa mogłoby skończyć się tym, że pierwsza większa ulewa zabrałaby symbol międzynarodowej współpracy do Dunaju, postanowiono ustawić trzy obeliski. Każdy na swoim państwowym gruncie. Pierwsze pojawiły się w 1995 r., mają po około 215 cm wysokości i ważą mniej więcej 800–900 kg. Transportowano je śmigłowcem, co dowodzi, że choć Polska potrafi korygować granice bez wojska, lotnictwo jednak czasem się przydaje.

Trzy tysiące metrów wielkości

Następne powiększanie Polski zaczęło się od konstatacji, że granica polsko-słowacka nie wszędzie biegnie tak, jak byłoby wygodnie geodetom, mieszkańcom oraz ludziom stawiającym znaki graniczne. Państwa przeprowadziły w 1998 r. wspólną kontrolę jej przebiegu. Wyszło z niej, że w kilku miejscach natura, stare pomiary i zdrowy rozsądek nie tworzą zgodnej koalicji.

29 lipca 2002 r. w Starej Lubowni podpisano więc umowę między RP a Republiką Słowacką o zmianach przebiegu granicy państwowej. Umowę ogłoszono w polskim Dzienniku Ustaw w 2005 r.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Do wymiany przeznaczono obszary o łącznej powierzchni 2969 mkw. Brzmi to okazale, dopóki ktoś nie przeliczy, że chodzi o 0,2969 hektara. Mniej niż pół typowego boiska piłkarskiego.

Pierwsza zmiana dotyczyła Przełęczy Dukielskiej. Granica przecinała tam drogę w sposób, który najwyraźniej bardziej odpowiadał dawnym pomiarom niż użytkownikom. Polska i Słowacja wymieniły więc po 376 mkw. Druga korekta objęła Dunajec oraz dwie wyspy: Nokiel i wyspę bezimienną. Wskutek zmian ich kształtu nie dało się prawidłowo osadzić dwóch znaków granicznych. Zamiast nakazać rzece, żeby wróciła do poprzedniego biegu, państwa wymieniły równoważne fragmenty o powierzchni po 2289 m. kw. Pozostała część dotyczyła polnej drogi w rejonie Jaworzynki i słowackiego Skalité, gdzie przebieg granicy utrudniał właścicielom dojazd do gruntów.

Bilans wyszedł idealnie na zero. Wielka Polska nie stała się zatem ani większa, ani mniejsza. Stała się za to bardziej foremna. Przesunęła trochę swoich metrów kwadratowych z miejsca, gdzie przeszkadzały, do miejsca, gdzie pasowały.

Kolejna operacja porządkowania polskiej wielkości rozgrywała się na północnym wschodzie. Tam, w pobliżu wsi Bolcie, spotykają się granice Polski, Litwy i Rosji – tj. obwodu królewieckiego. Punkt nosi nazwę Wisztyniec. Nie Wiszyniec, choć ta druga forma regularnie pojawia się w internecie i pewnie za jakiś czas zacznie żyć własnym urzędowym życiem, bo nazwy geograficzne mają to do siebie, że im więcej osób pisze je błędnie, tym bardziej błędna wersja wydaje się prawidłowa.

W październiku 2005 r. Polska, Litwa i Federacja Rosyjska podpisały porozumienie określające położenie punktu styku granic państwowych. W lipcu 2010 r. ustawiono tam granitowy znak z godłami trzech państw, napisami w trzech językach i czerwonymi liniami wskazującymi przebieg granic.

Po rosyjskiej napaści na Ukrainę turystyka na trójstyku zdechła, a w 2023 r. granitowy słup ogrodzono concertiną. Znak, który miał symbolizować spotkanie granic i narodów, opleciono drutem kolczastym.

Bug coś kręci

Państwo może podpisać umowę, parlament może ją ratyfikować, prezydent może wyrazić zgodę, geodeta może wbić palik, ale rzeka i tak ma to gdzieś. Bug, Odra, Dunajec oraz inne cieki graniczne nie czytają Dziennika Ustaw. Meandrują, podmywają brzegi, tworzą łachy, odcinają zakola i przesuwają koryta.

Nie oznacza to jednak, że Polska każdego roku rośnie albo maleje wraz z każdym większym wezbraniem. Przebieg granicy na rzece zależy od umów międzynarodowych oraz od tego, w jaki sposób granicę zdefiniowano. Na rzekach nieżeglownych bywa nią linia środkowa koryta, a na żeglownych środek głównego toru wodnego.

Rzeka może więc zmienić bieg, a granica prawna zostać tam, gdzie znajdowała się wcześniej. Wtedy powstają sytuacje nader atrakcyjne dla geodetów i kompletnie niezrozumiałe dla normalnych ludzi. Fragment gruntu może fizycznie znaleźć się po stronie rzeki należącej do państwa A, ale prawnie nadal należeć do państwa B.

Wspólne komisje graniczne kontrolują oznakowanie, odnawiają słupy, aktualizują dokumentację, porównują pomiary i próbują doprowadzić stan papierowy do takiego porządku, by nie wybuchł międzynarodowy spór o błoto, wiklinę oraz wyspę, której podczas poprzedniej kontroli jeszcze nie było.

Podbój zatokowy

Prawdziwy skok wielkości naszej ojczyzny nastąpił dopiero w 2023 r. Wtedy powierzchnia Polski zwiększyła się nie o marne setki hektarów, lecz o 121 106 ha. To ponad 1211 km kwadratowych. Obszar niemal cztery razy większy od Malty.

Gdyby dokonała tego armia, dowódcy dostaliby generalskie awanse, politycy wygłosiliby przemówienia, a w szkołach zaczęto by organizować akademie ku czci odzyskanych ziem. Tymczasem bohaterami operacji okazali się urzędnicy od ewidencji gruntów i budynków.

Zmiana wynikała głównie z włączenia Zatoki Puckiej oraz części Zatoki Gdańskiej do morskich wód wewnętrznych, podziału tych wód i przypisania ich do sąsiadujących jednostek samorządu. Polska nie wydarła więc Bałtykowi nowych 121 tys. ha. Woda pozostawała tam, gdzie była. Po prostu została wreszcie porządnie zapisana w państwowych rejestrach.

Rok później Polska urosła jeszcze o 225 ha. Tym razem przyrost dotyczył województwa zachodniopomorskiego i również wiązał się z dostosowaniem granic jednostek do linii podstawowej morza terytorialnego.

Potem przy nowej władzy nastąpiła tragedia. Powierzchnia Polski zmniejszyła się o 68 ha. Nikt jednak nie ogłosił żałoby narodowe, a minister obrony nie podał się do dymisji. Spadek wynikał bowiem z aktualizacji rejestrów, korekt geodezyjnych oraz zmian administracyjnych. Polska nie została najechana i nie utraciła w walce żadnej strategicznej doliny.

Rok później wszystko wróciło na właściwe tory. Przybyły 433 ha Polski, więc nie tylko odrobiliśmy ubiegłoroczne 68, ale wyszliśmy 365 ha na plus. W geodezyjnym starciu z samymi sobą odnieśliśmy zwycięstwo.

Najzabawniejsze jest jednak to, że wraz ze wzrostem powierzchni Polski maleje liczba Polaków. Na początku 2026 r. kraj liczył 37 mln 332,5 tys. mieszkańców, czyli o 156,6 tys. mniej niż rok wcześniej. W przeliczeniu na każdy hektar, który nam przybył, zniknęło ponad 361 osób.

Tu widać geniusz polskiej polityki. Państwo robi się większe, obywateli jest mniej, więc każdy ma więcej ojczyzny dla siebie. Gdyby proces przebiegał dostatecznie długo, ostatni Polak mógłby więc zostać właścicielem imperium rozciągającego się od Odry po Bug, z własnym kawałkiem Zatoki Puckiej.

TOMASZ BOROWIECKI

Stworzyliśmy system, który prowadzi z nami wojnę hybrydową. I ją wygrywa.

Za błędy na górze

Przekonała się o tym pani z Krakowa, która przed podróżą autobusem linii 174 zapewniła sobie bilet w aplikacji PeoPay. Sęk w tym, że w chwili kontroli smartfon odmówił współpracy. Najpierw przestał działać czytnik linii papilarnych, później pojawiły się problemy z dostępem do aplikacji, w której znajdował się zakupiony bilet. Kobieta próbowała odblokować urządzenie i wyświetlić kod potwierdzający zakup. Kanary przez kilka minut stali nad nią, sprawdzając w międzyczasie bilety pozostałych pasażerów i im bardziej stali, tym jej coraz bardziej trzęsły się ręce.

Manipulacja niewinnością

Kontrolerzy nie zamierzali jednak czekać. Ponieważ podczas kontroli bilet nie został okazany, wystawili kobiecie wezwanie do zapłaty opiewające na 306 zł. Nie miało znaczenia, że bilet rzeczywiście został kupiony, że istniało potwierdzenie transakcji, zapis płatności i historia operacji. Liczyło się wyłącznie to, że w chwili kontroli nie udało się wyświetlić tego, co powinno się wyświetlić. Po zakończeniu kontroli pasażerka poszła do punktu obsługi pasażera. Przyniosła potwierdzenie zakupu biletu, historię transakcji, dowody płatności. Wydawałoby się, że sprawa zakończy się w kilka minut. System widział, że pieniądze wpłynęły i kto je zapłacił. Tyle że regulamin nie pytał o to, czy bilet został kupiony, lecz czy został okazany w trakcie kontroli.

Reklamacja została odrzucona. Zarząd Transportu Publicznego wyjaśnił, że w przypadku biletów elektronicznych na okaziciela nie ma możliwości uwzględnienia dowodów przedstawionych już po zakończeniu kontroli, jeżeli sam bilet nie został okazany kontrolerowi w odpowiednim momencie. Oznaczało to, że wszystkie późniejsze potwierdzenia zakupu, choć bezspornie dowodziły, iż kobieta zapłaciła za przejazd, nie miały znaczenia.

W innych sytuacjach krakowskie przepisy dopuszczają możliwość anulowania wezwania do zapłaty po okazaniu dokumentu lub biletu, którego pasażer nie miał przy sobie podczas kontroli. Trzeba jedynie w ciągu siedmiu dni zgłosić się do POP i uiścić opłatę manipulacyjną wynoszącą 20 zł. Czyli nawet wtedy pasażer płaci za niewinność. W przypadku biletu zakupionego w aplikacji taka droga okazała się jednak zamknięta. Regulamin przewiduje możliwość okazania po czasie biletu okresowego lub dokumentu uprawniającego do ulgi, lecz nie elektronicznego biletu jednorazowego, mimo że jego zakup można zweryfikować w systemie z dokładnością do sekundy.

Ale to nie twórcy aplikacji, nie dostawcy cyfrowych usług ani autorzy regulaminów tracą czas na wyjaśnianie całej sytuacji. Robi to klient. To on chodzi do punktów obsługi, pisze odwołania, kompletuje dowody i płaci opłatę manipulacyjną za możliwość udowodnienia czegoś, o czym system wiedział od samego początku. Bo we współczesnej komunikacji miejskiej najwyraźniej obowiązuje nowa zasada mówiąca, że za działanie aplikacji odpowiada firma. Za skutki jej niedziałania odpowiada pasażer.

Powstrzymywaczka komunikacyjna

Jeżeli ktoś jeszcze wierzy, że w komunikacji miejskiej najważniejsze jest to, czy pasażer zapłacił za przejazd, powinien koniecznie wybrać się do Gdyni. Tam też można dowiedzieć się, że ważniejsze od samego zakupu biletu jest to, czy aplikacja będzie miała akurat dobry dzień, kontroler uwierzy w tłumaczenia, a telefon się połączy.

Pani, jadąc rano do pracy, weszła do trolejbusu linii 181 z zamiarem kupienia biletu elektronicznego w aplikacji SkyCash. Nie zdążyła. Podczas autoryzacji płatności pojawił się błąd, a aplikacja zablokowała możliwość ponowienia procedury zakupu przez dwie minuty. Akurat tyle wystarczyło, by na następnym przystanku do pojazdu wsiadły kanary.

Kobieta od razu poinformowała jednego z nich, co się wydarzyło. Usłyszała, że nie z nimi te numery, bo tak się zawsze dzieje każdemu, kto chce uniknąć opłaty za przejazd. Zanim ktokolwiek sprawdził, co rzeczywiście wydarzyło się w aplikacji, pani została uznana za naciągaczkę. Kanar poprosił o dowód – nie miała. Usłyszała więc, że pojedzie do przystanku końcowego, gdzie zostanie wezwana policja. Przez około 10 minut siedziała wraz z kanarami w stojącym pojeździe, oczekując na przyjazd patrolu. W tym czasie zadzwoniła do operatora aplikacji SkyCash. Dostała instrukcję, aby w razie wystawienia opłaty dodatkowej przesłać reklamację wraz z opisem całej sytuacji.

Gliniarze przyjechali i ustalili dane kobiety, zaś kanar poinformował ją, że ponieważ trolejbus przez całą procedurę złapał opóźnienie, zostanie obciążona dodatkową opłatą w wysokości 900 zł. za „spowodowanie, bez uzasadnionej przyczyny, zatrzymania lub zmiany trasy środka transportu". Kobieta odmówiła jej przyjęcia, bo sama tego trolejbusu nie zatrzymała. Ale się wściekła i zrobiła burzę, na tyle mocną, że swoje stanowisko przedstawił Zarząd Komunikacji Miejskiej w Gdyni. Według niego monitoring zainstalowany

eprasa.pl 36b301ba96

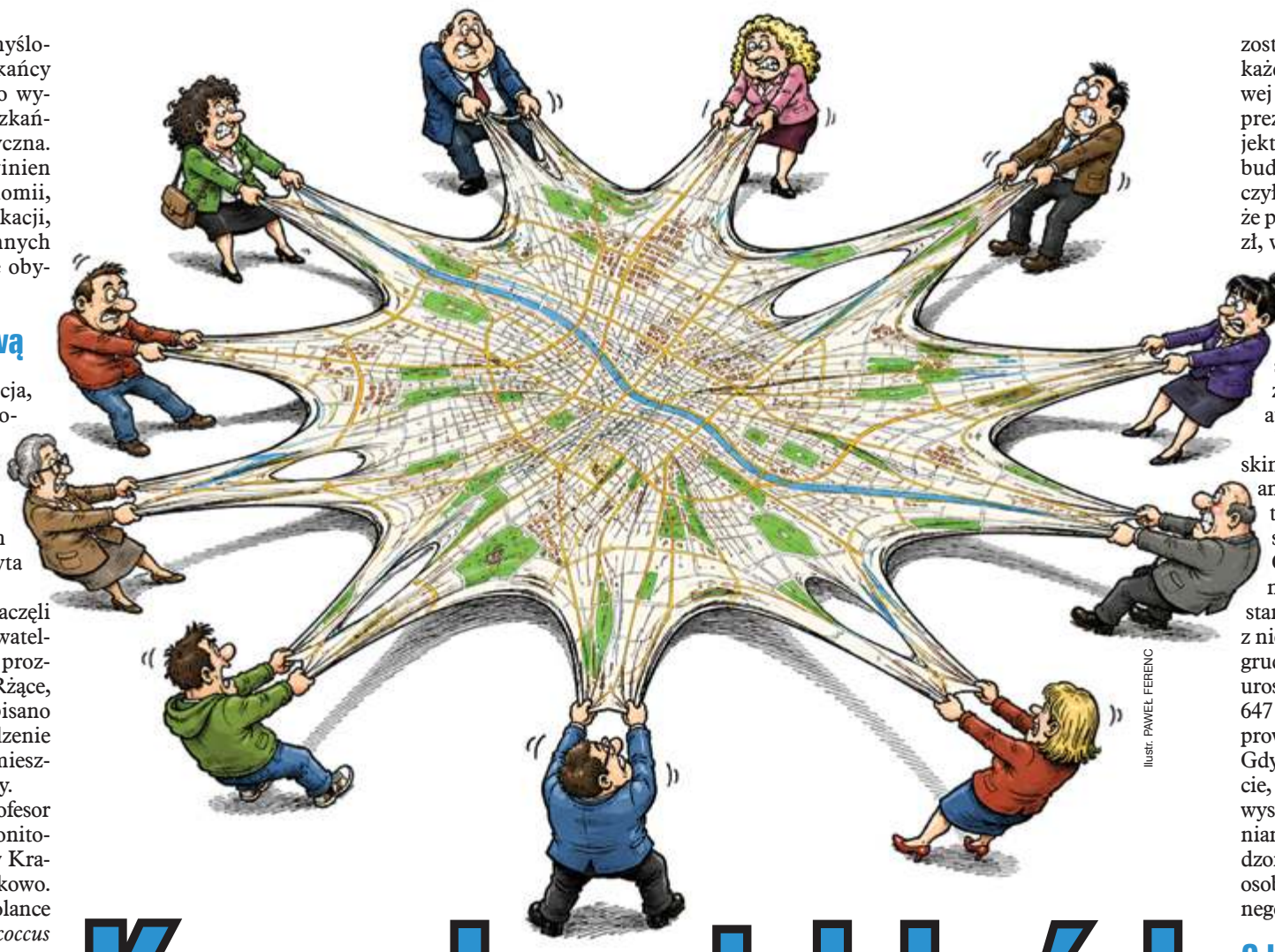
Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kupa obywatelskości

Przegłosowane znaczy najmądrzejsze

Budżet obywatelski wymyślono po to, żeby mieszkańcy mogli decydować, na co wydawać pieniądze mieszkańców. Idea jest nader demokratyczna. Zamiast urzędnika, który powinien coś wiedzieć o urbanistyce, ekonomii, zdrowiu publicznym, komunikacji, ochronie środowiska i paru innych drobiazgach, decyzję podejmuje obywatel. Bo obywatel wie lepiej.

Inhalacja zgorzelą gazową

Tężnia to drewniana konstrukcja, tarnina, solanka, ławeczki, kropelki wody w powietrzu i ludzie siedzący dookoła z minami świadczącymi o tym, że właśnie robią coś dla zdrowia. Kojarzy się z Ciechocinkiem i wszystkim tym, na co NFZ wysyła emeryta pociągiem przez pół Polski.

Krakowianie więc tężnie zaczęli sobie fundować w budżecie obywatelskim. Argumentacja była nader prozdrowotna. W projekcie tężni na Rżące, wycenionej na 1,5 mln zł, napisano wprost, że jej celem jest „prowadzenie profilaktyki zdrowotnej wśród mieszkańców Krakowa". Tężnie stanęły.

Wtedy pojawiła się pani profesor z Katedry Mikrobiologii i Biomonitoringu Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie i zrobiło się mniej uzdrowiskowo. Badania wykazały w miejskiej solance obecność *Escherichia coli*, *Enterococcus faecalis* oraz *Clostridium perfringens*. Czyli odpowiednio pałeczki okrężnicy, paciorkowca kałowego oraz laseczki zgorzeli gazowej. Wyniki miażdżyły reklamowe opowieści o prozdrowotnym mikroklimacie. W każdej z instalacji stężenie E. coli w solance było wyższe niż w Zalewie Nowohuckim i rzece Dłubni. Żeby tylko! Więcej bakterii kałowych wykryto w mgiełce wokół tężni niż podczas badań prowadzonych w oborach.

Żeby pojąć geniusz miejskiej tężni, trzeba wiedzieć, że w miejskiej instalacji solanka sobie krąży: spływa po konstrukcji i wraca do obiegu. Tężnia znajduje się cały czas na świeżym powietrzu, w którym fruwają sobie kurz, pył, liście, owady i ptaki. Te zaś siadają na konstrukcji i robią to, co ptaki robią na pomnikach, parapetach, samochodach oraz wszystkim innym.

Solankę można oczywiście wymienić i się wymienia – raz w sezonie. Pani profesor zrobiła badania tuż po takiej wymianie i wyszedł jej brak „istotnej poprawy parametrów mikrobiologicznych". Normalnie, gdy instalacja mająca służyć zdrowiu rozpyla ludziom bakterie kałowe, pojawia się sanepid. Ale Główny Inspektorat Sanitarny uznał miejskie mikrotężnie za elementy małej architektury. Nie istnieje więc obowiązek regularnego monitorowania obecności drobnoustrojów ani podjęcia określonych działań, gdy mikrobiologiczne skażenie już zostanie wykryte. Tężnia jest więc prozdrowotna na etapie zdobywania głosów mieszkańców i pieniędzy na budowę, gdy zaś trzeba pilnować, żeby nie rozpylała kału, staje się ławką z mokrymi patykami.

Zdziwi zatem kogoś, że w miejskich dokumentach finansowych na 2026 r. znalazła się Tężnia w Parku Krowoderskim za 850 tys. zł? Ba, szykuje się następna obywatelska tężnia, tym razem na Plantach Mistrzejowickich, za ponad pół miliona złotych. Bo, jak widać, tym, co najbardziej kochają obywatelscy Krakowianie, są bakterie kałowe.

Drożej, głupiej, nieudolniej

Na Jasnych Błoniach w Szczecinie mieszkańcy zapragnęli poidełka z wodą pitną. Pomysł rozsądny do bólu, bo to jedno z najpopularniejszych miejsc spacerowych w mieście, tysiące ludzi, biegacze, rowerzyści, dzieci, właściciele psów, a latem upał. W takim miejscu dostęp do darmowej kranówki trudno uznać za fanaberię, ta bowiem zaczynała się dopiero w kosztorysie. W dokumentach Szczecińskiego Budżetu Obywatelskiego pojawiła się bowiem kwota 160 tys. zł. Ostatecznie inwestycja miała kosztować prawie 47 tys. zł, co i tak wyglądało nader imponująco na tle tego, co jeszcze niecałe trzy lata wcześniej wpisano w miejskiej interpelacji dotyczącej podobnych urządzeń. Tam wskazywano, że koszt jednego poidełka to około 15 tys. zł. W obywatelskim wariancie kranik postawiony w ramach partycypacji społecznej potrafił więc kosztować trzy razy więcej od kranika wycenianego bez całej demokratycznej otoczki.

Szczeciński kranik przynajmniej zaspokajał pragnienie. Warszawski budżet obywatelski poszedł ambitniej i postanowił zaspokoić potrzebę, której większość ludzi wcześniej zapewne nawet u siebie nie rozpoznała. Chodziło o parklety, czyli niewielkie drewniane platformy z ławkami i zielenią, ustawiane w miejscach wcześniej zajętych przez samochody. W prezentacjach wyglądają znakomicie, bo zwykle pokazuje się je w słoneczny dzień, z ludźmi pijącymi kawę, donicami pełnymi roślin i samochodami jadącymi gdzieś daleko w tle. W Warszawie dwie takie strefy relaksu ustawiono jednak przy Puławskiej, jednej z najbardziej obciążonych ruchem ulic.

Projekt i wykonanie dwu parkletów kosztowało 60 tys. zł. Warszawiacy dostali strefę wypoczynkową przy ruchliwej arterii na przełomie grudnia i stycznia. Dokładnie wtedy, kiedy drewniane elementy szczególnie intensywnie mogą nasiąkać deszczem, śniegiem, błotem i solą drogową. Na szczęście konstrukcje są demontowalne, co w tym przypadku może być najcenniejszą właściwością całej inwestycji.

Mieszkańcy Olsztyna zgłosili i wybrali projekt nowej sceny plenerowej, bo poprzednią platformę przy bibliotece rozebrano w 2023 r. Starówka miała dostać miejsce na koncerty, spektakle i lokalne wydarzenia, a artyści mieli móc korzystać z niego bezpłatnie. Pierwotna lokalizacja odpadła, więc Scena Staromiejska wylądowała na Targu Rybnym. Stałego zadaszenia nie dostała, bo konserwator zabytków dopuścił wyłącznie dach tymczasowy, rozkładany na czas wydarzeń. W rezultacie plenerowy obiekt kulturalny został uzależniony od pogody albo od każdorazowego montowania dodatkowej konstrukcji. Rachunek również prezentował się interesująco. Sam projekt techniczny kosztował 25 571,70 zł, budowa – 246 tys. zł, a całość przekroczyła 271 tys. zł. Ratusz bronił się tym, że pierwotnie zakładano nawet 400 tys. zł, więc można mówić o oszczędności.

Miasto wskazywało również na pięcioletnią gwarancję oraz na fakt, że inwestycję wybrali mieszkańcy. To ostatnie jest szczególnie ważne, bo skoro ludzie zagłosowali, to inwestycja zyskuje aurę demokratycznej świętości.

W stołecznym Parku Skaryszewskim obywatele nie zażądali ani tężni, ani parkletu, ani sceny. Chcieli toalety. Projekt zdobył blisko 3500 głosów i został zatwierdzony na 2020 r. Od głosowania do otwarcia drzwi minęły niemal cztery lata. Pawilon stanął w marcu 2024 r., lecz korzystać z niego można było dopiero pod koniec grudnia. Cena zdążyła w tym czasie urosnąć z planowanych 450 tys. zł do 647 tys. zł. Po otwarciu okazało się, że prowadzi do niego błotnista ścieżka. Gdy zdjęcia zaczęły krążyć po internecie, Zarząd Zieleni w styczniu 2025 r. wysypał prowizoryczne przejście drewnianymi zrębkami. Docelową utwardzoną alejkę zlecono później w ramach osobnego przedsięwzięcia inwestycyjnego.

Oddolna rewolucja

Budżet obywatelski miał być sposobem na oddanie ludziom kawałka miasta. Niech mieszkańcy sami wybiorą, czy wolą drzewo, plac zabaw czy kibel. Tylko że coraz częściej nie wiadomo już ani co w tym mechanizmie jest budżetem, ani co obywatelskie. Najlepszym przykładem jest Warszawa, gdzie pula pieniędzy rośnie w tempie imponującym, zaś liczba obywateli uczestniczących w zabawie robi dokładnie odwrotnie. Pierwsza edycja w 2014 r. przyciągnęła 166 892 osoby, druga – 172 395. W ostatniej zagłosowało 55 366 Warszawiaków, czyli ledwie 3 proc. mieszkańców. Jednocześnie pieniądze urosły z 26 237 266 zł na początku do 137 867 090 zł obecnie. Czyli pięciokrotnie większą kasą dysponuje mechanizm interesujący mniej więcej trzy razy mniej ludzi. Gdyby tę tendencję potraktować jako miarę sukcesu,

idealny budżet obywatelski osiągniemy wtedy, gdy do wydania będzie miliard, a zagłosuje jedna osoba. Najlepiej autor zwycięskiego projektu.

W budżecie na 2027 r. wygrał remont amfiteatru i zagrody dla kóz przy Służewskim Domu Kultury. 600 tys. zł, 497 głosów i można wymieniać przegniłe deski i legary. Nic szczególnie nadzwyczajnego, dopóki nie wyszło, że projekt zgłosiła radna dzielnicy, która jednocześnie pracuje w Służewskim Domu Kultury. Oczywiście prawo jej tego nie zabrania. Oczywiście radna jest także mieszkanką. Oczywiście każdy może namawiać ludzi, aby zagłosowali. Tylko po co w takim razie udawać, że mamy do czynienia z jakąś oddolną rewolucją zwykłych obywateli?

W Elblągu demokracja obywatelska weszła nawet na poziom kryminalny. W 2024 r. podejrzenia urzędników wzbudziło 415 papierowych kart do głosowania. Głosowanie unieważniono, prokuratura zaczęła oglądać dokumenty, przesłuchiwać pracowników magistratu oraz ludzi, których podpisy znalazły się na kartach, pobierać od nich próbki pisma i analizować zapis monitoringu, powołano grafologa. W grudniu 2025 r. postępowanie zawieszono w oczekiwaniu na ekspertyzę, teraz znów je podjęto, a prokuratura zapowiada przesłuchania i stawianie zarzutów.

Nasze przechodzenie do społeczeństwa obywatelskiego dotarło więc do przystanku prokuratura. Nieźle jak na kilkanaście lat.

TADEUSZ JASIŃSKI

---

w trolejbusie pokazał, że pasażerka po wejściu do pojazdu spokojnie usiadła i tylko przez chwilę korzystała z telefonu. Dopiero gdy zauważyła kontrolerów wsiadających na kolejnym przystanku, gwałtownie wstała i zaczęła ponownie obsługiwać aplikację. To właśnie takie zachowanie wzbudziło podejrzenia kontrolera, który uznał, że ma do czynienia z typową próbą kupowania biletu dopiero po rozpoczęciu kontroli. Zdaniem ZKM kontroler nie miał w tej sytuacji wyboru, ponieważ opóźnienie wyniosło 17 minut.

Potem do pani dotarła odpowiedź od firmy SkyCash. Operator aplikacji uwzględnił jej reklamację i potwierdził, że od samego początku próbowała kupić bilet, a problem rzeczywiście wynikał z błędu systemu. Ale ZKM wiedział lepiej. I mimo że zawiodło coś, za co odpowiadać powinna firma, to na pasażera przerzucono konieczność udowadniania, że nie jest wielbłądem. Pasażer ma zdobyć dowody i marnować czas, kopiąc się z komunikacyjnym koniem. I to nie po to, że liczy na jakieś sowite zadośćuczynienie za straty czasowe i moralne, ale po to, żeby ktoś łaskawie anulował niesłusznie wystawiony mandat.

Szybka ścieżka do nieba

W transporcie samolotowym człowiek przyzwyczaja się do tego, że trzeba dopłacać. Chcesz siedzieć przy oknie – płać, dodatkowy bagaż – też płać. Ale warszawskie lotnisko Chopina postanowiło pójść o krok dalej. Uznało, że skoro przez własne opóźnienia inwestycyjne i przeciągający się montaż nowych skanerów pasażerowie godzinami stoją w kolejkach do kontroli bezpieczeństwa, to najlepszym rozwiązaniem będzie podniesienie ceny usługi pozwalającej ominąć te kolejki. Na własnej wtopie postanowili więc jeszcze zarobić.

Nowoczesne skanery miały przyśpieszyć kontrolę. Wszystko miało być gotowe jeszcze przed rozpoczęciem letniego szczytu, ale nie było. Jak przyznały Polskie Porty Lotnicze, winne okazało się przedłużające się postępowanie przetargowe i odwołania, przez co zmiany robiono w okresie największego ruchu pasażerskiego.

Mniej czynnych stanowisk kontroli oznaczało coraz dłuższe kolejki. W godzinach największego natężenia ruchu pasażerowie stali w ogonku na niemal całą halę odlotów, a części nie udawało się wejść na pokład, więc tracili kasę za bilety.

I właśnie wtedy cena usługi fast track, czyli szybkiej bramki pozwalającej ominąć ogromniaste kolejki, wzrosła do 55 zł przy zakupie w automacie, a przy zakupie internetowym do 50 zł. Dla normalnego człowieka

logika stanęła tu na głowie, bo jak inaczej określić sytuację, gdy lotnisko z własnej winy nie jest gotowe na sezon i nie potrafiąc zapewnić płynnej kontroli bezpieczeństwa, podnosi cenę usługi pozwalającej ominąć skutki tej niegotowości?

Gdyby priorytetem było jak najszybsze rozładowanie zatorów, najprostszym rozwiązaniem byłoby czasowe udostępnienie przejść fast track wszystkim pasażerom. Skoro płynność została ograniczona z powodu prowadzonych przez lotnisko prac, tak właśnie lotnisko mogło się zachować. Ale gdzie tam, lepiej było podnieść opłaty za szybką ścieżkę i uruchomić dodatkowe takie bramki.

Tak jak przypadku transportu miejskiego i tu rachunek za błędy firmy płaci pasażer. To on odpowiada za awarię aplikacji. To on, wykonując polecenia kontrolerów, dostaje 900 zł za opóźnienie trolejbusu. To on ma dopłacać za możliwość ominięcia kolejek, które powstały dlatego, że zarządca nie zdążył z własną inwestycją.

Dlatego nie powinniśmy się specjalnie zdziwić, jeśli któregoś dnia kelner napluje nam do zupy, po czym z pełną powagą oznajmi, że za tę dodatkową usługę należy mu się ekstra napiwek.

TOMASZ BOROWIECKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 36b301ba96

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Przechodzi obok kościoła kobieta. Pierwszy mówię „Szczęść Boże". Ona odpowiada „dzień dobry".* ***Gdyby rzeczywiście była niewierząca, z lekkością odpowiedziałaby „Szczęść Boże". Bo jeśli odrzuca istnienie Boga, takie zdanie ma ten sam wymiar, jak każde inne dzień dobry w obcym języku. Ale musiała udowodnić, że nie znosi kleru.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 24 sierpnia

■ *Współczesna kultura masowa odrzuca wiarę w Chrystusa i neguje możliwości rozumowego poznania prawdy.* ***I dlatego promuje subiektywizm i wszelkie zabobony.***

ks. Janusz Chyła, X, 25 sierpnia

■ *Postępujący proces sekularyzacji każe patrzeć na małżeństwo jedynie jak na międzyludzką umowę, która obowiązuje do czasu i którą można rozwiązać, by zacząć życie na nowo z kimś innym. (…)* ***Kiedyś istniała pewna presja kulturowa czy rodzinna, która sprawiała, że małżeństwa – lepsze czy gorsze – trwały do końca. Dziś wolność stała się swoistym bożkiem, łudzącym człowieka, że poradzi sobie sam, tworząc własne zasady moralne. Traktowanie współmałżonka jako tymczasowego partnera jest jednak fundamentalnie niezgodne z wiarą.***

abp Wacław Depo, Niedziela.pl, 23 sierpnia

■ *Już od dłuższego czasu intryguje mnie ten szczególny rodzaj homo sapiens, jakim jest minister oświaty, Barbara Nowacka. (…) Homo sapiens próbowałby się dogadać: jedna godzina religii obowiązkowa w zamian za zgodę na obowiązkową edukację zdrowotną.* ***Homo barbarus zrobi na złość wszystko, żeby nie było żadnego kompromisu. Homo sapiens mówiąc, że „musimy szanować wierzących i niewierzących", uszanowałby przynajmniej w słowach. Homo barbarus będzie mówił o „rozpasaniu kleru". (…) Aż by się chciało napisać, żeby Pani Ministra robiła wszystko, co komuna już przerabiała w naszym kraju, tylko niech nie mówi, że jej zależy na uczniach. Niech nawet zamyka biskupów i księży, ale niech nie mówi, że jej zależy na dzieciach. Niech chociaż w tym pozostanie homo sapiens.***

ks. Wojciech Węgrzyniak, Wegrzyniak.com, 26 sierpnia

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

■ *Przy V przykazaniu – „Nie zabijaj" – Papież przypomniał w Kielcach i Radomiu stanowczo: żaden parlament nie może uchwalać prawa, które pozwala na zabijanie człowieka.* ***To nie jest ingerencja w politykę. To przeniesienie Bożego Prawa na płaszczyznę społeczną. Przecież to my wybieramy polityków, którzy stanowią prawo – zgodne z Dekalogiem bądź mu przeciwne. Przykazania Boże nie są skierowane przeciwko jakiemukolwiek systemowi, który dąży do prawdziwego dobra wspólnego. (…) Zadaniem Kościoła jest rozjaśnianie trudnych spraw w świetle Ewangelii, a nie w kontekście programu jakiejś partii politycznej dla zyskania wyborców.***

dalej Depo

■ *W Polsce 15 sierpnia (…) odsłonięto najwyższą figurę maryjną w Europie (…). W Kanadzie 21 sierpnia politycy i przedstawiciele władz zgromadzili się w stolicy, w Ottawie, aby wziąć udział w odsłonięciu pierwszego i najwyższego w Kanadzie pomnika poświęconego „2SLGBTQI+". (…)* ***Dwa pomniki, jeden w Polsce, drugi w Kanadzie, wyrażają dwie przeciwne sobie, wrogie cywilizacje, a właściwie cywilizację i jej zaprzeczenie. Z jednej strony starą, łacińską, chrześcijańską, z drugiej – nową, demoliberalną, genderową. W tej pierwszej człowiek szuka schronienia w Bogu (…); w tej drugiej norma społeczna i prawo naturalne są formą opresji i prześladowania, a jedyną wartością jest prywatne, jednostkowe zaspokojenie. Bóg to relikt patriarchalnej świadomości, a kult Maryi to przejaw męskiej dominacji.***

Paweł Lisicki, Dorzeczy.pl, 30 sierpnia

KLECHA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Paciorek zamiast terapii

Zdrowie psychiczne polskiej młodzieży

Wszyscy w Polsce się zgadzają, że zdrowie psychiczne Polaków, zwłaszcza młodzieży, znajduje się w opłakanym stanie. I na tym, jak to u nas, zgoda się kończy. Mało kto przyzna szczerze, że to, jak się rzeczy mają, wynika poniekąd z ogłupiającej reklamy, która sączy się w trybie 24/7 z mediów społecznościowych, telewizji czy wszędobylskich bilboardów, które wespół mówią nam, że bez tego czy tamtego gówna jesteśmy niczym. Ani nie zająknie się, że sytuację pogarszają politycy, szczujący wciąż jednych ludzi na drugich i strasząc nas permenantnie. Nie wspomni o autorytarnej szkole niszczącej krytyczne myślenie. Te tematy to tabu w debacie publicznej.

Niemniej jednak trafiłam na banalny – w sumie też dość tani – sposób na poprawę stanu psychicznego młodych ludzi. Nie potrzeba im żadnych psychologów i psychiatrów, lecz paciorka i zajęć w parafii. Tę genialną w swej prostocie – a może raczej prostą w swej genialności – receptę znalazłam u dr. Artura Góreckiego, dyrektora Centrum Edukacyjnego Ordo Iuris.

Kryzys antropologiczny

Dr Górecki bierze byka za rogi. Chłoszcze batem jedynie słusznej krytyki minister edukacji Barbarę Nowacką za ograniczanie liczby lekcji religii i deprecjonowanie jej znaczenia, a także (o czym nie wiedziałam) za mnożenie godzin, jakie bachory spędzają z psychologiem szkolnym. Wiadomo, że więcej czasu z katechetką lub księdzem ma zbawienny wpływ na dzieciarnię, klecha wszak – o czym wiemy z doniesień medialnych i akt sądowych – potrafi przytulić i nie tylko.

Pan dyrektor mówi o coraz głębszym „kryzysie antropologicznym", dodając: „nawet na poziomie empirycznym, który jest dziś szczególnie ceniony w debacie publicznej, potwierdzają się intuicje klasycznej, realistycznej antropologii:

człowiek jest istotą transcendentną i tylko zakorzenienie w religii może mu zapewnić autentyczny sens istnienia oraz psychiczną odporność na wyzwania życia".

Górecki przywołuje wytrawnego znawcę antropologii św. Tomasza z Akwinu opisującego człowieka jako złożonego z ciała i duszy. I tu już jesteśmy w domu. Bo człowiek potrzebuje sensu życia. Z tego wynika, że pustkę mogą wypełnić wyłącznie wartości nadzmysłowe, a zwłaszcza – nie bójmy się tego powiedzieć wprost – Bóg. O tym, co na ten temat sądzą setki milionów młodych chińskich ateistów, nie wiemy, ale pewnie ich psychika jest w opłakanym stanie!

Górecki podbija stawkę, przywołując książkę „Osoba i czyn" Karola Wojtyły i snując nieomal poetyckie wywody: „człowiek jest osobą, czyli bytem, który nie zamyka się w immanencji, lecz ze swej natury jest skierowany ku transcendencji. Samostanowienie, które jest istotą osoby, nie może być realizowane w oderwaniu od prawdy o człowieku – a ta prawda ma wymiar ostatecznie teologiczny. Wychowanie, które ignoruje ten wymiar, nie jest wychowaniem neutralnym: jest wychowaniem okaleczonym, amputującym człowiekowi najważniejszy organ orientacji egzystencjalnej".

Badania empiryczne podobno dowodzą, że regularne uczestniczenie w praktykach religijnych koreluje z niższą śmiertelnością. Pewne badanie sprzed dekady pokazuje, że kobiety uczestniczące co najmniej raz w tygodniu w praktykach religijnych były aż o 26 proc. mniej narażone na ryzyko przedwczesnej śmierci.

Trochę mi to skądinąd zajechało pogańskim kultem zdrowia i witalności. Prawdziwy katolik wie, że długie i zdrowe życie nie ma większego znaczenia, liczy się wszak tylko życie wieczne, czyli zbawienie.

Dajcie dzieciakom pożyć

Oczywiście każdemu wolno kochać i każdemu wolno pierdolić głupoty na tematy, o których ma nikłe pojęcie. Osobiście nie mam nic przeciwko aktywności małolatów w parafiach, pewnie to lepsze niż ciągłe oglądanie głupich filmików na TikToku. Ale mam coś przeciwko wtłaczaniu na siłę młodych ludzi, których wrażliwość dopiero się kształtuje, w przymusowe ramy kościelne.

Młodzi powinni mieć szeroki wachlarz darmowych możliwości spędzania wolnego czasu w sposób zdrowy i kreatywny. Haratać w gałę czy łupać w kosza, pływać, mieć różnorodne zajęcia w domu kultury. Ale realnym problemem są często ich rodzice, zaganiani, nieobecni, niekiedy zachlani czy zaćpani. Nie są oni jakoś szczególnie wychowawczym wzorcem dla potomstwa, więc tu siłą rzeczy powinno wkroczyć społeczeństwo, państwo, samorządy, niekiedy organizacje pozarządowe.

Wkurwiają mnie próby glajszachtowania społeczeństwa przez osoby przekonane, że posiadły jakąś ostateczną prawdę o człowieku. Rację miał Chlorian Teorycy Klapostoł z „Cyberiady" Stanisława Lema, że spory filozofów jałowe są, bo każdy powinien mieć własną filozofię – przykrojoną do siebie jak ubranie. Państwu powinno być obojętnie, czy będzie ona katolicka, buddyjska czy ateistyczna, byle nie być aspołeczną mendą patrzącą wyłącznie na osobiste korzyści.

Wynurzenia dyrektora Góreckiego mimo wszystko napawają mnie optymizmem. Jeżeli w 2026 r. jedyne, co katoliccy fanatycy mają do zaproponowania młodzieży, to więcej JP2 i księży, to możemy spać spokojnie: polska młodzież nadal będzie w globalnej czołówce laicyzacji…

KAT

Idealiści na Stryczku

Kapitalizm po katolicku w natarciu

Kościelną gwiazdą był swego czasu ksiądz o radosnym nazwisku Stryczek, sam tytułujący się pseudonimem Wiosna, współbrzmiącym z nazwą stowarzyszenia, które założył. Ksiądz sezonowy był twórcą m.in. Szlachetnej Paczki i Ekstremalnej Drogi Krzyżowej. Okazało się, że Szlachetna Paczka nie jest aż tak szlachetna – przynajmniej tak twierdziła część pracowników stowarzyszenia Wiosna. Wobec ks. Stryczka padły oskarżenia o mobbing, prokuratura wszczęła śledztwo. Był rok 2018, 51 osób otrzymało status pokrzywdzonych.

W 2025 r. śledztwo umorzono, a ks. Stryczek odtrąbił sukces. Przez cały czas utrzymywał, że sprawa jest dęta i to wszystko spisek przeciwko niemu, a pośrednio także przeciwko Kościołowi. Jego triumf jest połowiczny, bowiem prokuratura uznała, że zachowanie księdza wprawdzie przestępstwem nie było, ale było nieetyczne.

„Sposób komunikowania przez ks. Stryczka pracownikom niezadowolenia z ich pracy brał się stąd, że nie zastanawiał się nad tym, że może kogoś zranić" – poetycko uzasadniła umorzenie prokuratura. Wiosna w sutannie wystąpił w prawicowych mediach jako ofiara nagonki mediów liberalnych, zwłaszcza Onetu, od którego wszystko się zaczęło. O udział we wrogim przejęciu Szlachetnej Paczki Stryczek oskarża m.in. aktualną RPO Sylwię Gregorczyk-Abram. W wizji duchownego stało się to po to, by wyciąć konkurencję dla Owsiaka. Teraz Szlachetna Paczka jest – twierdzi ksiądz – „przybudówką dla WOŚP".

Jacek Stryczek ma wielu wrogów. Wszyscy chcą go zniszczyć, a to dlatego, że są zazdrośni. On – człowiek sukcesu, wspaniały organizator, mówca i wizjoner; oni – przeciętniacy, którym nie wyszło w życiu, więc kąsają lepszych od siebie. Tych zazdrośników widzi Stryczek także wśród swych kolegów po fachu, którzy odwrócili się od niego w momencie próby. Wśród zamachowców na jego karierę jest także abepe Marek Jędraszewski, który wysłał go na urlop po oskarżeniach o mobbing.

A teraz niestrudzony Jacek Stryczek wraca oto w glorii i promuje nowy projekt: Kongres Idealistów. 19 września w Krakowie odbędzie się nowa impreza sygnowana jego nazwiskiem, której zapowiedź brzmi jak zaproszenie na inaugurację piramidy finansowej. „Zbudowałem Szlachetną Paczkę. Potem wymyśliłem Ekstremalną Drogę Krzyżową, którą co roku, w nocy, w milczeniu idą dziesiątki tysięcy ludzi na całym świecie. Teraz robię trzecią rzecz i jest najtrudniejsza z tych trzech. Bo tamte dwie prosiły o jedną noc albo o jeden gest. Ta prosi o coś, czego nie da się odbębnić: żebyś przestał odkładać własne życie na potem. Człowiek to czasownik, nie rzeczownik. Nie jesteś tym, kim jesteś. Jesteś tym, co robisz" – reklamuje się Stryczek.

Wstęp: 300 zł. Wśród prelegentów: kard. Grzegorz Ryś czy ks. Dariusz Raś, o którym twórca Kongresu Idealistów pisze: „Ma sporo osiągnięć życiowych, ale najsłynniejszy jest z bycia odwoływanym przez ks. abpa Jędraszewskiego. Bezprawnie i bezskutecznie (...) Musi coś w sobie mieć, skoro był tak niszczony za nic". Oprócz tych dwóch na evencie wystąpi generał, kilku profesorów i duchownych. Sami ludzie sukcesu, tak jak Stryczek ten sukces rozumie.

Ksiądz Wiosna jest bowiem niestrudzonym krzewicielem kapitalizmu, który uważa za tożsamy z nauczaniem Kościoła. Jego Szlachetna Paczka miała wprawdzie pomagać ubogim, ale tak by „dać wędkę, a nie rybę". Swoje wolnorynkowe poglądy artykułuje wprost, bijąc się o miano Korwina w sutannie.

„W Polsce obowiązuje kato-marksizm. Mamy taką religię, że ci, którym się dobrze powodzi, są źli i trzeba ich nienawidzić, a ci, którzy są biedni, są lepsi. Ta religia ma także swój przejaw rewolucyjny, że jak ci jest źle, to krzycz. Nasza polityka i nasze życie społeczne zarządzane jest przez krzyk: ten, kto krzyczy, ten dostaje – nie ten, kto jest potrzebujący" – rozpaczał w TVN24.

„Nie ma takiego cytatu w Ewangelii mówiącego, że Jezus kazał się dzielić. To jest właśnie taki katomarksizm, zbiór stereotypów, z których tworzy się religię" – poucza ks. Stryczek. I dodaje: „Nie należy też wciąż wmawiać księżom, że mają być biedni

Ilustr. PAWEŁ FERENC

i najlepiej jeszcze pierdołowaci, jeśli chodzi o pieniądze. Nie! Oni mają mało potrzebować, ale to nie znaczy, że nie mają się znać na pomnażaniu pieniędzy, zarządzaniu nimi. Tego nie ma w Ewangelii".

Na zaproszenie Stryczka na Kongresie wystąpi kardynał Grzegorz Ryś, którego kapitalista w koloratce nazywa swoim przyjacielem. Jak purpurat pogodzi poglądy przyjaciela ze swoim własnym nauczaniem, w którym podkreśla, że prawdziwym skarbem Kościoła są ubodzy, a sam Kościół ma stać się wspólnotą ubogą dla ubogich? Oto jedna z wielkich tajemnic wiary.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 36b301ba96

Prezes pod celą

Napiszę o Radosławie Piesiewiczu, ale nie będę kopać leżącego (a w zasadzie siedzącego). Przypomnę nieco faktów z jego życia.

Hucznie zapowiadane rozliczenia poprzedniej władzy idą ekipie Donalda Tuska jakoś niemrawo. Robert Bąkiewicz hula sobie na swobodzie, Grzegorz Braun nadal zaprzecza istnieniu komór gazowych w obozie Auschwitz-Birkenau, Zbigniew Ziobro mieszka w Ameryce, a Marcin Romanowski – Bóg wie gdzie. Padło tylko na Radosława Piesiewicza, którego działalność w sporcie opisywałem już wiele razy – on jako chyba jedyny usiadł, na razie w areszcie. W zasadzie to powinienem być mu wdzięczny. Dał mi zarobić sporo grosza na wierszówkach.

Chuj

Po raz pierwszy wziąłem na cel Piesiewicza w 2019 r., po mistrzostwach świata koszykarzy. Nasi wygrali tam w grupie A z Chińczykami na ich terenie, co otworzyło im drogę do dalszych gier. Ówczesny prezes Polskiego Związku Koszykówki Radosław Piesiewicz rozradowany wparował do szatni zawodników ze słowami: „Chuj im w dupę!”. Nie mam za złe działaczowi słowa „chuj”, znajduje się także w moim słowniku, znam je podobnie jak większość rodaków – ale staram się go nie używać do określania gospodarzy, gdy jestem u kogoś w gościach. Natomiast gospodarze mistrzostw, nieznający języka Mickiewicza, dobrodusznie pokazali przemowę Piesiewicza na swojej stronie internetowej i zdjęli filmik dopiero, gdy ktoś przełożył go na mandaryński.

Nieważne, po prostu trochę niesmaczna zabawna sytuacja. Tak ją wówczas odebrałem.

Po mistrzostwach na drużynę spłynęły zaszczyty. Po raz pierwszy od dawna o naszych koszykarzach, prowadzonych wówczas przez amerykańskiego trenera Mike’a Taylora, zaczęło się mówić sporo i dobrze, czego ukoronowaniem było (dość niespodziewane) wybranie koszykarskiej reprezentacji narodowej drużyną roku w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego”. Ale już podczas ceremonii wręczenia nagrody doszło do nieprzyjemnego zgrzytu. Prezes PZKosz Piesiewicz, dziękując wszystkim za udział w sukcesie, zapomniał o kapitanie i najlepszym zawodniku Adamie Waczyńskim, którego w ogóle nie zaproszono na uroczystość. Później Waczyński nie dostał powołania na zgrupowanie kadry, a trener Taylor mętnie tłumaczył, że zawodnik jest zmęczony i musi odpocząć. To była – jak się szybko wyjaśniło – nieprawda. Po prostu od dawna trwał konflikt na linii prezes PZKosz–kapitan reprezentacji, a trener kluczył między nimi, starając się nie narazić żadnej ze stron, co skończyło się dla niego zwolnieniem ze stanowiska.

Foch

Konflikt Waczyńskiego z Piesiewiczem nie dotyczył taktyki gry. Chodziło o to, że koszykarz walczył o drużynę, dobre hotele, warunki na zgrupowaniach, pieniądze, co poniekąd jest obowiązkiem kapitana. Obiecany milion złotych za awans z grupy podczas mistrzostw świata jakoś się rozpłynął, po przepychankach w końcu stanęło na 600 tys. zł.

Najbardziej denerwowało chyba Piesiewicza, że Waczyński był wówczas zawodnikiem Baloncesto Málaga, czołowej drużyny hiszpańskiej ligi, która ma się tak do polskiej jak futbolowa Ekstraklasa do Primera División. Jego sponsorem była firma Unicaja, a nie Orlen, Energa, Lotto czy inna spółka skarbu państwa. Waczyński nie musiał kłaść uszu po sobie, a tego Piesiewicz nie mógł wybaczyć. Prezes tak sterroryzował koszykarzy, że ci w ogóle bali się o tym rozmawiać z dziennikarzami. Doskonale to pamiętam.

Adam Waczyński już nie wrócił do reprezentacji. O ile wiem, po krótkim pobycie w drużynie Śląska Wrocław wyjechał do Hiszpanii, ale gdzie tam gra i czy w ogóle jeszcze gra – nie wiem. Nie specjalizuję się w koszykówce, nie śledzę wszystkiego, co się w niej dzieje.

Jedno mogę stwierdzić: Adam Waczyński należy do znanego koszykarskiego rodu Waczyńskich. Do kosza rzucał jego dziadek, reprezentant Polski Szczepan, oraz ojciec Witold. Żona Natalia z domu Nierzawa była koszykarką, głównie klubów z wybrzeża, a ich dzieci (Julia i Aleks) są jeszcze małe, ale jestem pewien, że już kozłują piłkę. Takich ludzi trzeba szanować, przynajmniej w swojej dyscyplinie sportowej.

Prawda, obecny kapitan reprezentacji Polski Mateusz Ponitka też jest znakomitym sportowcem, także cieszy się mirem wśród kolegów, a czasem rzuca do kosza jak natchniony. Ale powtórzę, konflikt Waczyńskiego z zespołem nie polegał na tym, że nie chcieli go w drużynie koledzy. Nie chciał go Piesiewicz.

Najsłynniejszy polski koszykarz Marcin Gortat zabrał w tej sprawie głos: „Nieważne, że jest jednym z najlepszych koszykarzy najlepszej w Europie ligi hiszpańskiej. Adam Waczyński nie dostał powołania do reprezentacji Polski z powodu fochów prezesa PZKosz”.

Każdy normalny prezes koszykarskiego związku starałby się wykorzystać popularność Gortata do rozwijania swojej dyscypliny – zwłaszcza że zawodnik po powrocie do kraju włączył się do aktywności w środowisku sportowym. Nie chcę nawet wspominać o zasługach jego fundacji. Cóż, Piesiewicz, jak bliskie jego sercu PiS, musi mieć wroga, a im potężniejszy, tym lepiej. Miał przekonanie, że za nim stoją jeszcze potężniejsze siły. Miał zresztą podstawy do takich przemyśleń.

Prowizja

Spółki skarbu państwa to był właśnie oręż Piesiewicza, prywatnie kolegi – a jak twierdzą niektórzy, wieloletniego przyjaciela – Jacka Sasina, z którym łączyły go zresztą rozmaite interesy. Ówczesny wicepremier Sasin miał nieograniczony i niekontrolowany wpływ na pieniądze spółek skarbu państwa, a te utrzymują nie tylko większość polskich związków sportowych, ale dziś również kluby. Pieniądze z Orlenu, Energi, Lotto są dla działaczy bardzo wygodne. Nie muszą biegać po prywatnych sponsorach i błagać o jakąś wpłatę. Wystarczy chodzić za jednym i – o czym szepcze całe środowisko – odpalić mu procent od zawartej umowy.

W pobieraniu prowizji za „przyniesione” do związku sportowego pieniądze Radosław Piesiewicz posiadł swego rodzaju mistrzostwo. Przed koszykówką działał w siatkówce, ale prędko się go stamtąd pozbyli. Doszli do wniosku, że działacz z takim modelem postępowania może przynieść związkowi więcej szkód niż pożytku. Gdyby wszyscy w naszym sporcie potrafili myśleć tak mądrze jak włodarze siatkówki, pewnie mielibyśmy więcej medali na różnych imprezach i przynajmniej jedno wolne miejsce w więziennej celi.

Na marginesie – pobieranie prowizji za zdobycie sponsora lub reklam nie jest niczym nielegalnym, o ile odbywa się w sposób transparentny. Jeśli jednak dzieje się wszystko pod swego rodzaju przymusem i brutalnie, to nawet gdy nie podpada pod paragrafy kodeksu karnego, staje się czymś moralnie nagannym. Piesiewicz właśnie tak postępował. Niepokornych pozbawiał patronatu spółek skarbu państwa, uległych nagradzał nie swoimi pieniędzmi.

Zaszczyty, prowizje, fotografie ze znanymi sportowcami, na których uśmiecha się wyćwiczonym idiotycznym grymasem, nie wystarczały dla spełnienia prezesowskich ambicji. Zachciało mu się czegoś więcej: kariery międzynarodowej. Pierwszym krokiem miało był sięgnięcie po prezesowski fotel w Polskim Komitecie Olimpijskim. A później? Może członkostwo w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim? Może ONZ? Oczywiście nie wiem, czy tak było, ale bez trudu mogę sobie wyobrazić Radosława Piesiewicza, który przegląda się w lustrze i nabiera przekonania, że stworzony został do wielkich rzeczy.

Skok

Zamach na stołek prezesa PKOl nie był łatwy. Stanowisko zajmował – dziś już nieżyjący – Andrzej Kraśnicki, który wyraził chęć kandydowania na następną kadencję. Był powszechnie lubiany i ceniony, nawet nie miał kontrkandydata, bo wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie mają szans z działaczem kulturalnym, znającym się na sporcie i niezależnym finansowo do tego stopnia, że nie brał z komitetu nawet złotówki. Pracował społecznie; to sformułowanie wyszło z obiegu, dziś nikt nie chce robić za friko. Prezes Kraśnicki był człowiekiem bezkonfliktowym i jeśli słyszałem o nim jakąś negatywną opinię, to właśnie dotyczyła tego, że dopuszcza do głosu zbyt wiele osób ze swojego otoczenia.

To była druga kadencja rządów PiS. Partia Jarosława Kaczyńskiego brała wszystko: sądownictwo, spółki skarbu państwa, Narodowy Bank Polski, słowem nie było dziedziny, w której nie zapuszczałaby swoich macek. Dlaczego polski sport miałby być ostoją wolności i samowoli?

Zakusy na PKOl PiS rozpoczęło, wprowadzając do władz swoich ludzi, jeszcze zanim odbicie w lustrze podpowiedziało Radosławowi Piesiewiczowi, że pięknie i godnie prezentowałby się jako szef zrzeszającego wszystkie związki i organizacje sportowe stowarzyszenia, którego pierwszym prezesem był książę Stefan Lubomirski. No, zdobycie tytułu książęcego można było na razie odłożyć – trzeba było natomiast odsunąć Andrzeja Kraśnickiego. I na to znalazł się sposób.

Krótko przed walnym zgromadzeniem

Andrzej Kraśnicki zrezygnował z kandydowania na szefa PKOl. Stało się to po wizycie w pałacu prezydenckim, którego głównym lokatorem – i ponoć świadkiem spotkania – był Andrzej Duda. Sam Kraśnicki ograniczył się do krótkiego wyjaśnienia, że robi to dla dobra polskiego sportu.

Wybory nie były dostępne dla dziennikarzy. Początkowo Radosław Piesiewicz miał być jedynym kandydatem wybranym przez aklamację. W ostatniej chwili zgłosił chęć objęcia fotela młody prezes Polskiego Związku Sumo Kewin Rozum. Sumo nie jest dyscypliną olimpijską, więc nawet gdyby na pomoc przybyli mu ponad stukilogramowi zapaśnicy, szanse miałby niewielkie. Wystąpił w charakterze znanego z lekkoatletyki „zająca”.

Wybory zarządu też były interesujące. Ci, co powinni, dostali fotografie prawidłowo (oczywiście prawidłowo wg Piesiewicza) wypełnionych kart do głosowania. Niektórzy – widząc, w czym przyszło im uczestniczyć – wycofali swoje kandydatury i już wkrótce można było zapraszać dziennikarzy oraz fotoreporterów, żeby przedstawić nowego prezesa oraz posłuszny mu zarząd.

Nadzieje i rozczarowanie

A teraz się zdziwicie. Nie jest tajemnicą, że zostało mi jeszcze trochę znajomości w sportowym środowisku. Głównie wśród emerytów, ale oni też żyją dyscyplinami, w których pracowali całe życie, a zazwyczaj w młodości startowali jako zawodnicy. Choć sam proces wyborczy u wszystkich pozostawił niesmak, to z osobą nowego prezesa wiązano spore nadzieje – chodziło właśnie o obiecane pieniądze ze spółek skarbu państwa. Szybko jednak nadzieje się rozwiały.

Urzędowanie Piesiewicza było jednym pasmem afer i aferek. To są sprawy dość świeże, więc wspomnę o nich – jeśli można tak powiedzieć – punktowo. Salonik VIP dla niego i jego rodziny na lotnisku, horrendalne wynagrodzenie szefa i jego przybocznych, zadziwiająco drogi „Polski Dom” podczas igrzysk w Paryżu, wreszcie interesy z giełdą kryptowalut Zondacrypto i złoty zegarek Patek Philippe za 40 tys. euro od jej prezesa Przemysława Krala.

Patrzę na złotego Schaffhausena, który zdobi mój przegub, i mam nadzieję, że nie trafię z tego powodu za kratki. I tak nie pogadam tam z Radosławem Piesiewiczem, bo wcześniej wyjdzie z więzienia ułaskawiony przez nowego lokatora Pałacu Prezydenckiego. Swoich nie zostawia się w potrzebie. A o mnie kto się upomni? Grupka takich jak ja emerytów?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

Ilustr. PAWEŁ FERENC

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski
Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 2.09.2026 r.

„NIE” w komórce
Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 36b301ba96

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Te, Rusek!
– Nie nazywam się Rusek. Nazywam się Moskal. Michał Moskal.
– Moskal, Rusek, jeden pies…
– Pies to pies, czyli policjant. A ja jestem politykiem.
– Rusek, Moskal, polityk, jeden pis.
– Pies, a nie pis.
– Mówiłeś, żeś polityk, a nie pies.
– Polityk. Z PiS.
– Polityk z PiS to przekupna dziwka.
– Ja jestem nieprzekupny.
– Nieprzekupna dziwka? Tylko kolacją na Ibizie dała się przekupić.
– Nie dziwka, tylko polityk! A kolację na Ibizie jadłem za własne.
– Za cudze. Mówiłem, że dziwka…
– Za cudze, ale potem oddałem, czyli tak jakbym jadł za własne.
– Pokaż przelew, przekupna dziwko!
– Nie pokażę i nie jestem ani dziwką, ani przekupną, lecz prawą ręką prezesa.
– Jak możesz być prawą ręką prezesa, skoro prezes ma dwie lewe ręce?
– Jestem Michał Moskal. Poseł, prawa ręka prezesa.
– Jesteś zwykłą pisowską świnią.
– Jestem człowiekiem!
– *Czełowiek – eto zwuczit gordo.*
– Co to znaczy?
– Człowiek to brzmi dumnie. Ale nie w twoim przypadku, świnio!
– Po jakiemu to? Pewnie po ukraińsku…
– Po rusku. Bo napisał to Maksym Gorki. Rusek.
– Nie Rusek, tylko Moskal. Michał Moskal.
– Moskal, Rusek, jeden pies…

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA popadła w nastrój wspomnieniowy. **JOANNA SENYSZYN** nie bywa taka sentymentalna.

Senyszyn: – No i co wspominasz?
Wołk-Łaniewska: – Pierwszy dzień szkoły…

– Dobrze?
– A wiesz, że chyba tak? I to wszystko dzięki gospodarce niedoboru.

– To akurat zaskakujące skojarzenie.
– A bo teraz bachory mają wszystko wszędzie zawsze. I posiadanie nowego piórnika nie jest żadną radością. A pod koniec lat 70. – kiedy zaczynałam chodzić do podstawówki – taki nowy chiński piórnik był powodem do dumy. I aż się chciało pójść do szkoły, żeby go poużywać. I pokazać kolegom, żeby ich skręciło z zazdrości, bo gówniarzerii nie znosiłam od małego. Pamiętasz chińskie piórniki?

– Wołku, ja poszłam do szkoły podstawowej w latach 50. Chiny dopiero zaczynały wielki skok naprzód, przewodniczący Mao zajmował się wytapianiem stali w dymarkach, a nie produkowaniem piórników dla rozbestwionej wschodnioeuropejskiej dzieciarni. Może dlatego początek roku szkolnego nigdy mnie nie cieszył.
– Mnie na dłuższą metę też nie, ale ten piórnik… Pachniał jak Jack Daniels…

– I wiedziałaś to już w szkole podstawowej?
– Nie, dowiedziałam się dopiero w latach 90., kiedy ta amerykańska berbelucha stała się modna. Ale zapach chińskiego piórnika zapamiętałam na całe życie i budzi we mnie sentyment, i tak właśnie pachnie Jack Daniels. Który zresztą nie nadaje się do picia, dokładnie tak samo jak chińskie gumki do jedzenia…

– Jakie znowu gumki?!?
– Taki był wykwintny zestaw pierwszowrześniowy, obiekt klasowej zawiści: nowy chiński piórnik, a w nim nowa chińska gumka. Do ścierania, w razie jakby ktoś z młodszych Czytelników miał wątpliwości… Taka mała, kolorowa i pachnąca tak pysznie, że każdy z nas kiedyś próbował ją zjeść…

– I co?
– Była niejadalna, oczywiście, strasznie gorzka, ale to nie powstrzymywało nas przed próbami. Tak że w połowie września wszystkie nowe gumki w mojej klasie nosiły już ślady zębów. I mniej więcej w tym czasie nowy rok szkolny przestawał kogokolwiek cieszyć.

– Mnie nie cieszył nawet pierwszego…
– Bo nie miałaś chińskiego piórnika.

– Może. Ale to nie był jedyny powód. Nie znosiłam ani podstawówki, ani liceum, z tym idiotycznym kieratem, w którym dzień po dniu, miesiąc po miesiącu trzeba wcześnie wstawać, kilka godzin siedzieć cicho w twardej, drewnianej ławce, w czasie przerw parami chodzić w kółko po korytarzu, a po powrocie do domu zjeść obiad i odrabiać lekcje. Począwszy od pierwszego września, skreślałam dni w kalendarzu i czekałam na kolejne ferie, a potem wakacje. A na domiar złego sama sobie zgotowałam ten los przedwcześnie i chyba za to byłam szczególnie zła.
– Dlaczego przedwcześnie?

– Bo nie chciałam się rozstawać z moją przyjaciółką Ewą, która mieszkała dwa piętra wyżej. Bałam się, że jak ona pójdzie do szkoły, a ja nie, to mnie porzuci. Rodzice tłumaczyli, że niepotrzebnie skrócę sobie dzieciństwo, ale byłam uparta jak osioł i w końcu ustąpili… Ku mojemu rychłemu ubolewaniu.
– Ach czemuż to? Nie spodobała ci się edukacja w przeddzień odwilży?

– A wyobraź sobie, że nie. Nawet nie było lekcji, tylko jakiś apel czy akademia, ale i tak już poczułam, czym to pachnie. Po powrocie do domu oświadczyłam rodzicom, że nie chcę już chodzić do szkoły, że mieli rację i w zupełności wystarczy, jeśli zacznę naukę za rok. Mama pewnie by na to poszła, ale tata stanowczo się sprzeciwił. „Joanno" – powiedział, bo rodzice nigdy nie zdrabniali mojego imienia – „tłumaczyliśmy ci, że robisz błąd, ale nie słuchałaś. Musisz ponosić konsekwencje swojej decyzji". To zresztą była chyba najważniejsza lekcja w moim życiu.
– Ja też mam interesujące wspomnienie z pierwszego dnia pierwszej klasy. Otóż w mojej klasie absolutnym przypadkiem wylądowała dwójka dzieci dawnych znajomych moich rodziców z różnych redakcji. I państwo redaktorostwo tak się ucieszyło niespodziewanym spotkaniem, że gdzieś wybyli razem i nas – a w każdym razie mnie – zostawili w tej szkole. Nasz dom był po drugiej stronie cichutkiej żoliborskiej ulicy, więc mogłam sobie po prostu pójść do domu i posiedzieć w ogródku. Ale ja postanowiłam zaczepiać każdego dorosłego, który mi się nawinął, z pytaniem: „Proszę pana, proszę pani, moi rodzice poszli na wódkę i mnie zostawili, co ja mam robić?". Matka mi to wypomina do dzisiaj.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

– Trochę wredne to było…
– Chyba miałam trochę wredny charakter na tym etapie rozwojowym.

– Nie to co dzisiaj…
– Prawda? Też poszłam rok wcześniej do szkoły, ale nie z wyboru, tylko dlatego, że mnie z przedszkola wyrzucili.

– No brawo! A za co?
– Chyba byłam nieznośna ponad miarę. Pamiętam scenkę: zrobiłam taką awanturę na odcinku leżakowania, że nie dość, że przedszkolanka kazała mi się ubrać, ale jeszcze cukierka mi dała, żebym wreszcie przestała piłować ryja. Na odcinku leżakowania, imaginuj sobie. Gdyby dziś w środku roboty ktoś mi powiedział: a weź się połóż i prześpij – to bym go w czoło ucałowała… Taką rolkę ostatnio widziałam – koleś tak mniej więcej w moim wieku mówi z głębokim namysłem: „Wszystkie koszmary mojego dzieciństwa stały się teraz moimi życiowymi celami: jedzenie warzyw, chodzenie wcześnie do łóżka, drzemka w ciągu dnia. Co się ze mną stało?!?". Chłop ma rację.

– Koszmarem mojego dzieciństwa było jedzenie czegokolwiek. Byłam strasznym niejadkiem i dorośli bardzo się tym martwili, co mnie skłoniło do manipulacji wieczornych.
– Brzmi złowieszczo.

– Ponieważ oczywiście też nie znosiłam chodzić wcześnie spać i zdecydowanie wolałam do późna siedzieć z dorosłymi, wymyśliłam zaklęcie, które odwlekało ten moment: „Coś bym zjadła". Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kolacja lądowała z powrotem na stole i zaczynało się misterium karmienia. Niczym chomik napychałam policzki jedzeniem, które następnie wypluwałam w toalecie.
– I nie połapali się?

– Niestety, mama zorientowała się dość szybko. Ale co sobie posiedziałam, to moje.
– Zmieniając zatem: zaniepokoił mnie tekst w „Newsweeku"…

– O czym?
– O prezydencie. Tekst nosi tytuł: „Karol Nawrocki organizuje spotkania dla inteligencji. »Aż trudno uwierzyć, jak się tam zachowuje«".

– Daje inteligentom po pysku, wznosząc kibolskie okrzyki?
– Też się czegoś takiego spodziewałam. Ale otóż nie. Wyobraź sobie, że jest dużo gorzej. Cytuję: „Przychodzi z notatnikiem, pisze, a potem się do tych notatek odwołuje w czasie dyskusji, sam też zadaje pytania"… To jest szczerze przerażające. Polityk, który ma gotowość do uczenia się, jest śmiertelnie niebezpieczny. Zwłaszcza że jest jeden jedyny.

– A od kogo niby on tam się uczy?
– Głównie od intelektualistów ze swojego kręgu kulturowego: prof. Nowak, prof. Gliński, Bronisław Wildstein… Ale jest też garstka lewaków. Kobita jedna, przynajmniej tylko jedną „Newsweek" wyśledził.

– To znaczy, że nie uczy się aż tak szybko, żebyśmy musiały się tym martwić. Choć z drugiej strony Duda ciągle się uczył, niczego się nie nauczył, ale dwie kadencje zaliczył.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 36b301ba96